ISSN 1507-4781 * ROK XXVII * ZIMA (I, II, III) 2024 * nr 99

FORUM 99

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów

Julian Fałat
Pejzaż zimowy z rzeką i ptakiem, 1913

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Staśko z Diderotem, czyli flaki z olejem*
- REMINISCENCJE, Sławomir J. Tabkowski, *Alfabet bliskich nieobecnych*
- Albert Krantz, *Wandalia* (wprowadzenie i przekład J. Kabaj)
- Mieczysław Jakubiec, *„Anatomia" sukcesu*

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI

1 *Dokonało się*
2 *Sławek* – Wspomnienie o S. Brodzińskim

TEMATY SPRZED LAT

3 Tadeusz Boy-Żeleński – *Staśko z diderotem, czyli flaki z olejem*
Wstęp i opracowanie – Piotr Augustynek

MYŚLĄC BELFREM

6 *Skończyły się żarty* – Piotr Augustynek

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

7 Bogumił M. Woźniakowski – *Periodyki wolnomularskie i ich twórcy*

REMINISCENCJE

15 Sławomir J. Tabkowski – *Alfabet bliskich nieobecnych*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

24 Danuta Stolarek – *Dekabrystki cz. I*
37 Albert Krantz – *Wandalia*
Przedmowa redakcji
Tłumaczenie Józef Kabaj

LITERATURA

44 Antoni Marianowicz – Jest taki dziwny kraj…
45 Sławomir Mrożek – Wróg publiczny

POD NIEBEM PARYŻA

47 Renata Szubańska – *„Prawdziwy Francuz”*
53 Lech Mazurek – *Requiem dla świeckości?*

FELIETONY

58 *Polityczny omlet*
59 *Gest poderżnięcia gardła*

REFLEKSJE

61 Józef Kabaj – *Siedemnastowieczny humanizm*
62 Mieczysław Jakubiec – *„Anatomia” sukcesu*

64 **Z PORTALI INTERNETOWYCH**

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

Członkowie:
prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:
Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.
Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych.
Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.
Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

DOKONAŁO SIĘ

Obeszło się wprawdzie bez krzyżowania, czy – choćby – bez innego, bliższego nam niż rzymska „szubienica" w kształcie litery T, ostrzejszego pala (*stawros* po grecku znaczy „pal", później także „krzyż"), lecz kto wie… Jesteśmy bowiem świadkami, jak nasz naród „krzyżowany" przez wieki, a także w niemałym stopniu i przez ostatnie dziesięciolecia, niespodziewanie przebudził się do innego życia i wygląda na to, że tej szansy już nie prześpi. Będzie się przecież przyglądał uważniej niż dotąd, przed czyją właściwie figurą się modli, do kogo zanosi swoje oczekiwania. I jaki to przynosi skutek. Nie przynosi – zmiana adresata. Albo i wymiana „na nowszy model".

Obudziła się nadzieja. Jeszcze nieśmiała, nieokrzepła. A nuż bowiem znów coś się popsuje? Czy wytrzymamy trud odbudowy tego, co zostało prawie całkiem zburzone? Ale czy strach nie jest „na wyrost"? Przecież w wyborach wzięła udział rekordowa ilość obywateli. Nie wszyscy głosowali tak samo…

My zaś, będący małą cząstką tego narodu – naszego narodu – liczącego teraz (wreszcie, po przebudzeniu 15 października 2023 r. p.n.Ch.) trochę ponad połowę ogółu obywateli mających prawa wyborcze, co w tym przypadku oznacza zdolność do uczestniczenia w decyzjach ich dotyczących, nie oczekujemy ani manny z nieba (co najwyżej życiodajnego deszczu, bo susze są coraz częstsze), ani żadnych szczególnych względów. Udało się nam – temu kwartalnikowi – przetrwać parę dziesięcioleci odsądzania nas od czci i wiary, gdyż byliśmy konsekwentni w potępianiu ciemnogrodu negującego wartości Oświecenia. Widzimy szansę dla naszej dalszej walki o wyższość – a przynajmniej pierwszeństwo – uczenia racjonalnego wychowania, tzn. nauki myślenia i postępowania wedle dobrze sprawdzonych reguł i zasad, a nie wedle czyjegoś widzimisię, by nie rzec urojenia „nie z tego świata".

Obiecujemy sobie, iż będą to dla nas bardzo „wesołe święta". Niczego bowiem nie straciliśmy, a zyskać możemy sympatię kolejnych zwolenników odrodzenia rozumności w zarządzaniu naszym państwem narodu polskiego. I ażeby Kraj Polan powstał – wreszcie – z kolan i stanowił sam o sobie.

Czego i Państwu – Naszym Drogim Czytelnikom – serdecznie życzymy.

Redaktor Naczelny

SŁAWEK

Pożegnaliśmy Sławka Brodzińskiego. Był z nam zawsze, nawet wtedy, gdy toczył walkę z chorobą. Zawsze był potrzebny, zawsze pomocny. Dobrze pamiętamy Jego rosłą sylwetkę, wesołe spojrzenie i donośny, tubalny głos.

Był człowiekiem prawym. Wrażliwym na ludzką krzywdę, zdecydowanym walczyć do upadłego, gdy komuś działa się krzywda, gdzie naruszane były normy społeczne.

Długie lata upłynęły mu na działalności w Towarzystwie Kultury Świeckiej. Był sekretarzem krakowskich struktur Towarzystwa.

Pamiętamy o Jego zaangażowaniu w redagowanie kolejnych numerów Forum Myśli Wolnej. Trudno o Sławku pisać teksty pochwalne, bo tego nie lubił. Był po prostu dobrym kolegą, skromnym, z dystansem do siebie samego.

Będzie obecny w naszych myślach.

Przyjaciele

HIMALAJE HIPOKRYZJI

I znowu Boy miał rację. Jego teksty poświęcone „nierozerwalnym węzłom małżeńskim" obnażyły bezmiar fałszu i zakłamania, pokrytych argumentami norm społecznych, etosu chrześcijaństwa, tradycji itd., itp.

Wydaje się, że felietony naszego Patrona są mało aktualne, bo przecież ich powstanie to przełom lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia. Okazuje się, że to nieprawda. Powszechnie bowiem wiadomo, że doktryna nierozerwalności małżeństwa ważna jest, ale tylko dla maluczkich, to znaczy tych, którzy mają „maluczko" pieniędzy. A ci lepsi?

Całkiem niedawno, bo parę lat temu ekrany telewizji i pierwsze strony prasy dały nam poznać, jak Kościół Katolicki pojmuje dogmat nierozerwalności świętego związku małżeńskiego. Otóż jeden z prominentnych graczy politycznych (oczywiście Polak-katolik), facet mający dorosłe potomstwo, uzyskuje unieważnienie świętego związku, a następnie pojawia się w jednym z krakowskich kościołów, by wziąć znowu ślub. Kościelny, jak najbardziej. Asystują mu w tym zbożnym czynie działacze arcykatolickiej i arcypatriotycznej partii. Prawicowej.

I co? Ano, nic. Dostojny Stwórca nie trzasnął piorunem w tę uśmiechającą się fałszywie gawiedź. Nie trzasnął, a powinien. Może zasnął? Może był na urlopie? A może po prostu go nie ma?

Wstęp i opracowanie
Piotr Augustynek

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

STAŚKO Z DIDEROTEM, CZYLI FLAKI Z OLEJEM

Nareszcie wyruszyły klerykalne pisma i pisemka z polemiką. Pokazało każde, co umie: jakie pismo, taka i polemika. Więc krakowski *Głos Narodu* wysmażył artykulik p.t. *Jędrek-mędrek zielono-balonikowy:* Jeden tylko ze współczesnych polskich pisarzy został przez część prasy nazwany mędrcem (skarży się *Głos Narodu*). Nie Rostworowski, który... nie Berent, który... nie Staff, który... ale właśnie, on, Boy, tłumacz francuskich Diderotów...

„I za co! (lamentuje dalej *Głos Narodu*). Boy-Żeleński nie ma warunków do tej swojej nowej roli... To, co napisał dotąd oryginalnego, było wodą; nic dziwnego, że „tomy Boya" urosły do cyfry setki... Ani więc głęboki, ani poważny pisarz; i taki człowiek został nazwany „Mędrcem". Drugi Staśko, tylko Staśko obznajmiony z Diderotem w oryginale".

Tak biada *Głos Narodu*. A ja też mam ochotę pobiadać, mianowicie nad strasznym poziomem tej „polemiki". Czy to pisane przez matołków czy dla matołków? Dlaczego w naszych klerykalnych pisemkach stale mówią o rzeczach literackich analfabeci? Ten „Boy, nazwany przez część prasy mędrcem"! Tych sto tomów (!) mojej oryginalnej wody; ten Staśko z Diderotem w oryginale! Oto poziom, do jakiego świętoszki sprowadziłyby naszą publicystykę, gdybyśmy im pozwolili rządzić się w Polsce jak na swoim folwarku.

A poziom argumentów! *Polak-Katolik* odpowiada na moje uwagi tryumfalną statystyką rozwodów, stwierdzając, że u pro-

testantów jest ich więcej, niż u katolików. Zważywszy, że w kościele katolickim rozwód nie istnieje, a u protestantów istnieje, zestawienie to jest czymś w tym rodzaju, co gdyby ktoś przeprowadził statystykę porównawczą bigamii u nas a w dawnej Turcji i tryumfował, że u nas była rzadsza. Nie mówiąc o tym, że większość owych rozwodów protestanckich — niemal wszystkie — to są właśnie *rozwody katolików*, zmuszonych do zmiany religii.

Ale czego żądać od *Polaka-Katolika*, kiedy sam ksiądz Kozubski w cyrkularzu *Katolickiej Agencji Prasowej* nielepszymi walczy argumentami... Uregulowanie prawa małżeńskiego w duchu europejskim grozi, jego zdaniem, „ruiną społeczeństwa“... Ksiądz Kozubski jest profesorem uniwersytetu, a mówi do nas jak do dzieci. Księże profesorze, ja też byłem przez 24 godziny profesorem uniwersytetu: nie zlęknę się. „Ne zdurisz aptekara szajdewasserom“, powiada stare ukraińskie przysłowie /przekręcony wyraz niemiecki Salpetersäure — kwas azotowy; przyp. red./.

Ruina społeczeństwa! W takim razie społeczeństwa Anglii, Niemiec, Szwajcarii, etc., etc., musiałyby dawno być ruiną. Tymczasem prosperują wcale dobrze; a nawet, o dziwo, cnoty rodzinne stoją tam dość wysoko. Lepiej nie tykajmy tych kwestii, bo jaki mason gotów by szepnąć, że podczas tych paru wieków, przez które kraje protestanckie rosły w potęgę i rozwijały się na wszystkich polach, kraje najprawowierniej katolickie jak Polska, Hiszpania, doszły do ostatecznego upadku. To drażliwy temat, księże profesorze...

No a Poznańskie, wasze ukochane Poznańskie? Czy i to jest „ruina społeczeństwa“? Z argumentami zatem jest słabo. Nic dziwnego. Sfery duchowne nie przywykły do argumentów; przywykły działać w ciemnościach i po cichu; przywykły u nas do tego, że im nikt nie patrzy na ręce i nie przyciska ich do muru. Cześć i milczenie! Ale, kiedy się przerwało to milczenie, nie da się już ust zamknąć. Listy, rewelacje jakie otrzymuję, to jeden krzyk ludzkiej niedoli, na której żerują ci, którzy z urzędu swojego powinni goić rany ludzkości. Oto na przykład ustęp z listu, podpisanego imieniem i nazwiskiem; pisze go kobieta, która, jako młodziutka dziewczyna, wyszedłszy za człowieka niegodnego jej uczuć, postanowiła się z nim rozejść. Znów ten klasyczny konsystorski proceder:

„Nie chcąc zmieniać religii, zwróciłam się do adwokata konsystorza katolickiego (tu nazwisko znanego adwokata), który oświadczył mi, że choć podane przeze mnie przyczyny są „wyjątkowe“, jednak na tych zasadach unieważnienia w kościele katolickim nie uzyskam. Jeżeli więc chcę pozo-

stać wierną wierze „ojców moich“, *to muszę ukryć dziecko, przekupić lekarza i udać dziewicę*, a ręczy za skutek!“

Młoda kobieta wychodzi od adwokata — tak samo jak tamta wprzódy cytowana przeze mnie — oburzona, zmienia religię i przeprowadza rozwód. Z czasem wychodzi powtórnie za mąż. Drugi mąż, korzystając z jej niedoświadczenia i nie dość chronionej prawem pozycji, wyzuwa ją z majątku, przeprowadza w sekrecie w konsystorzu katolickim unieważnienie małżeństwa (przy czym konsystorz nie zawiadomił jej ani o sprawie, ani o wyroku), po czym żeni się z inną, ograbiwszy tamtą ze wszystkiego, nawet z mieszkania. I nie ma wobec niej żadnych obowiązków: małżeństwo jego jest, wedle Kościoła, niebyłe.

„Na skargę moją, skierowaną do Konsystorza Katolickiego, odpowiedziano osobie z mojej rodziny, że unieważniono małżeństwo na podstawie bulli papieskiej *Ne teměre*, upoważniającej do rozwiązywania związków mieszanych, których ślub nie był powtórzony w kościele katolickim.

A nie zawiadomiono mnie za karę, żem religię zmieniła“.

Czyta się to jak bajkę! To są istne dziwy, aby w praworządnym kraju można było kogoś oszukać i ograbić na podstawie — bulli papieskiej! Obecnie żona ta zaskarżyła męża o oszustwo przy zawieraniu małżeństwa (410 art. K. K.) i o bigamię (412 art. K. K.). Ładne historie. Oto, jaki chaos prawny stwarza istnienie tego państwa w państwie, w zakresie spraw, które są wszak nie tylko sakramentem ale i kontraktem. I ksiądz Kozubski twierdzi, że uregulowanie tych dzikich stosunków byłoby „ruiną społeczeństwa“! Świetny żart, księże profesorze.

Drugi wypadek, o którym donoszą mi w liście:

Przed 30 laty, młody 18-letni chłopiec ożenił się z namowy rodziny z 20-letnią dziewczyną; niebawem rozstał się z nią, wyjechał i nie było go lat trzydzieści. Po trzydziestu latach przysłał do Warszawy swoją nieślubną żonę, aby wraz z tamtą ślubną nie-żoną wspólnymi siłami doszły do unieważnienia małżeństwa i uregulowania życia czworga ludzi. Ponieważ ci ludzie są biedni, ograniczyli się na serdecznych prośbach podanych na piśmie do Kurii Diecezjalnej. Prośby zostały bez odpowiedzi, a małżonka ślubna została wezwana przez miejscowego duszpasterza i otrzymała polecenie pod groźbą prześladowania kościelnego, to jest odmowy pociech i sakramentów w trakcie życia oraz przy skonaniu, aby zaraz porzuciła człowieka z którym żyje i który usynowił dziecko urodzone z tego związku.

Kobieta była religijna, skutek oczekiwany: atak trucia się, choroba do dziś.

Proboszcz oprócz tego napisał list do władzy człowieka żyjącego „na wiarę”, że ponieważ pożycie takie daje zły przykład innym, prosi o wyrzucenie tego człowieka z posady...

Przypadkowo, ponieważ władza szczególnie ceniła i szanowała tego człowieka, denuncjacja pozostała bez skutku.

Zestawmy ten wypadek, w którym Kościół istotnie jest „nieprzejednany“ — i więcej niż nieprzejednany — z doskonałym „przejednaniem“ codziennych praktyk konsystorskich, a dojdziemy do smutnych wniosków...

Mam jeszcze i inne fakty, z nader wiarogodnego, niemal urzędowego źródła, ale te już doprawdy zbyt brzydkie są, aby je tu przytoczyć.

Na zakończenie coś weselszego. *Głos Narodu* przejął się bardzo moją groźbą. „Boy (wykrzykuje) — jako założyciel nowego kościółka, nowej sekty! Diabeł ubrał się w ornat“.

Szkoda, że jeszcze nie dodał, że do mszy mi służą Staśko z Diderotem... Oj, głuptasy, głuptasy, jakże łatwo jest na waszym tle wydać się „mędrcem“… □

Dziewice konsystorskie,
Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929

SKOŃCZYŁY SIĘ ŻARTY

„No, nareszcie!" – takie westchnienie ulgi rozległo się jak Polska długa i szeroka. Chciałbym wierzyć, że najgłośniej westchnęło środowisko nauczycielskie. Najgłośniej, bo od dziesięcioleci ta grupa zawodowa traktowana była wyjątkowo pogardliwie. Z jednej strony „władcy" (bez względu na barwy polityczne) prezentowali pogląd, że nauczyciele i inni pracownicy edukacji to tak zwani pożyteczni idioci, którym zamiast uczciwej płacy powinno wystarczyć poczucie zaszczytnej misji. Cynicznie wykorzystywano szkodliwy we współczesnej rzeczywistości mit Siłaczki. Przyjęło się przekonanie, że kilkusettysięczna armia nauczycielska jest wyjątkowo potulna i niezaradna mimo swojej liczebności.

Z drugiej strony do atmosfery lekceważenia dołączali często sami rodzice uczniów. Bardzo często dało się słyszeć zdanie o tym, że na biednego Jasia czy Kasię nauczyciel „się uwziął". Znamy to? Znamy, znamy.

Zapowiedź trzydziestoprocentowej podwyżki wynagrodzeń w oświacie to zaledwie początek pozytywnych zmian. Wielokrotnie na łamach Forum Myśli Wolnej powtarzałem, że radykalna podwyżka wynagrodzeń nauczycieli z jednej strony przyciągnie do zawodu najlepszych absolwentów studiów pedagogicznych, a z drugiej strony pozwoli wymagać dobrej jakości pracy. Wymagać, bo co tu kryć, wśród braci nauczycielskiej nie tylko są same anioły i przodownicy pracy nauczycielskiej. Prawda?

A co oprócz pieniędzy? Tu rodzi się pole troski i zadawania pytań – niekoniecznie miłych i łatwych.

Konieczne jest przeprowadzenie wnikliwej analizy stanu polskiej szkoły we wszystkich jej rodzajach i na wszystkich szczeblach.

Tu nie chodzi o wskazanie miejsc, gdzie trzeba „dosypać" pieniędzy. Rzecz jawi się jako bardziej skomplikowana. Można ją zawrzeć w następujących pytaniach:

- Jakie są słabe i mocne strony polskiej oświaty?
- Kogo chcemy ukształtować w procesie wychowawczym?
- Co trzeba zmienić w obecnych programach nauczania?
- Jak przygotować do pracy (innej niż dzisiaj) nowe pokolenie nauczycieli?
- Jak zapobiegać procesom wypalenia zawodowego kadry pedagogicznej?
- W jaki sposób zmienić dotychczas obowiązujący model organizacji toku nauczania?
- Jak lepiej i skuteczniej współpracować z rodzicami uczniów – szczególnie w trudnych przypadkach?
- Co zmienić w modelu zarządzania oświatą na poziomie samorządów?
- Czym ma być proces nadzoru pedagogicznego, by był pomocą, a nie aparatem ucisku?

Jak wobec powyższych pytań zadbać o dobro ucznia i nauczyciela?

Oczywiście, rozważania i kolejne pytania można by mnożyć i mnożyć bez końca. Ale przecież musimy je postawić i poszukać odpowiedzi, by reforma oświaty nie była kolejnym pokazem pustosłowia. Już na pierwszy rzut oka widać, że poważne potraktowanie problemów polskiej szkoły wymaga nie tylko dużych pieniędzy, ale może przede wszystkim czasu. Dużo czasu. Jeśli chcemy, by reforma się powiodła, nie działajmy pochopnie, nie róbmy niczego na pokaz. To nie może być poletko do bieżących gierek politycznych, do działań pozornych, a efekciarskich. Gra idzie o poważną stawkę.

Z ostatnich doniesień medialnych wynika, że system edukacyjny Finlandii, dotychczas uważany za wzorcowy, zaczyna tracić skuteczność. Świadczą o tym wyniki badań PISA. Wniosek? Nie ma systemów idealnych. Uczmy się więc na błędach. Najlepiej na błędach popełnionych przez czołówkę Europy. Tak będzie najbezpieczniej.

Wypada więc teraz uzupełnić wydźwięk tytułu. Generał Wieniawa-Długoszowski, znany birbant i koneser szampańskiej zabawy, rzekł kiedyś do swoich kompanionów w „Adrii":

„Panowie! Skończyły się żarty, zaczęły się schody!"

Znowu jakieś proroctwo? □

Piotr Augustynek

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

PERIODYKI WOLNOMULARSKIE I ICH TWÓRCY

Jesienią 2023 minęło 30 lat od czasu, gdy ujrzał światło dzienne *Wolnomularz Polski* – pismo przyjaciół sztuki królewskiej, a 5 lat, gdy ukazał się jego ostatni 76 numer. Minęła również 5 rocznica śmierci założyciela *Wolnomularza* i wieloletniego redaktora **Adama Witolda Wysockiego**, którego setna rocznica urodzin wypadnie w lutym 2024. Jest zatem okazja, by przybliżyć temat prasy masońskiej oraz sylwetki kilku dziennikarzy „w fartuszkach".

W dziejach wolnomularstwa, praktycznie od jego zarania, ważną rolę odegrały różnego rodzaju periodyki. Dzielą się one na biuletyny oficjalne wielkich lóż, często jedynie do użytku wewnętrznego, niezależne czasopisma publicystyczne i historycznoliterackie, oraz całorocznie wydawane almanachy i kalendarze.

Pierwsze wolnomularskie publikacje o charakterze periodycznym pojawiły się już w czwartym dziesięcioleciu XVIII w., a były to: angielski almanach *The Free Mason`s Pocket Companion* (Kieszonkowy towarzysz wolnego masona), oraz dwa niemieckie czasopisma o identycznej nazwie *Der Freimaurer* (Wolnomularz).

W historii czasopiśmiennictwa wolnomularskiego istotną rolę odegrały Niemcy i kraje niemieckiego obszaru językowego, tj. Austria i częściowo Szwajcaria. Obszar ten, obok Wielkiej Brytanii, Ameryki Północnej i Francji, stał się jednym z najpoważniejszych centrów czasopiśmiennictwa wolnomularskiego.

Na tym tle polskie czasopiśmiennictwo wolnomularskie prezentuje się więcej niż skromnie. W swojej trzechsetletniej historii, nawet w latach swego największego rozkwitu na przełomie XVIII/XIX w., masoneria polska nie miała ani jednego własnego czasopisma. Praktycznie dopiero w drugiej połowie XX w. pojawiły się emigracyjny *Biuletyn Społeczności Wolnomularzy Polskich,* oraz krajowe *Ars Regia* i *Wolnomularz Polski,* oraz już w obecnym stuleciu *Masoneria XXI w.*

Adam Witold Wysocki

Wolnomularze jednak aktywnie współpracowali z ukazującą się wówczas prasą i na jej łamach próbowali przedstawiać swój punkt widzenia na otaczającą rzeczywistość, jak też kładli podwaliny pod nowoczesne dziennikarstwo.

Praktycznie wśród redagujących wszystkie ważniejsze czasopisma ukazujące się od II połowy XVIII w. po lata 20 wieku XIX można odnaleźć ludzi ze środowiska kielni i fartuszka.

I tak np. z *Monitorem* (1765-1785), pierwszym wydawanym regularnie polskim czasopismem, związany był **Józef Epifani Minasowicz** (1718-1796) – poeta i pierwszy tłumacz literatury masońskiej na język polski. *Gazetę Narodową i Obcą* (1791-1792) redagowali poeta i dramatopisarz **Julian**

Ursyn Niemcewicz (1759-1841) i publicysta **Józef Weyssenhoff** (1760-1798). *Zabawy Przyjemne i Pożyteczne* (1770-1777) – pierwsze polskie czasopismo literackie – współtworzyli: poeta, satyryk **Tomasz Kajetan Węgierski** (1755-1787) i komediopisarz **Franciszek Zabłocki** (1752-1821).

Z najpopularniejszą gazetą Królestwa Polskiego – *Gazetą Warszawską* (1774 z przerwami do 1935) – współpracowali: dziennikarz **Antoni Lesznowski** (1769-1820) i filozof, publicysta **Józef Kalasanty Szaniawski** (1764-1843).

Ze względu na liczny udział masonów wśród autorów tekstów, za ich nieoficjalny organ można uznać *Pamiętnik Warszawski czyli Dziennik Nauk i Umiejętności* (1815-1823). Byli to m.in.: historyk literatury, bibliograf **Feliks Bentkowski** (1781-1852); poeta, krytyk literacki **Kazimierz Brodziński** (1791-1835); pisarz, publicysta, polityk **Stanisław Kostka Potocki** (1755-1821); poeta, krytyk literacki **Ludwik Osiński** (1775-1838); literat, mecenas kultury **Aleksander Chodkiewicz** (1776-1838); historyk prawa, leksykograf **Jan Wincenty Bandkie** (1783-1846); poeta satyryczny **Marcin Molski** (1751-1822); poeta, tłumacz, wersolog **Kantorbery Tymowski** (1790-1850). *Pamiętnik* był pierwszą polską prezentacją koncepcji liberalizmu i stąd tak duże grono związanych z nim wolnomularzy, którym idee liberalne były bardzo bliskie.

Wśród redaktorów-wolnomularzy przełomu XVIII/XIX w. szczególnie wyróżniał się Bruno Kiciński, urodzony w 1794 (choć niektóre źródła podają też rok 1796 i 1797), zmarły w 1844. Członek loży „Polacy Zjednoczeni", gdzie pełnił m.in. funkcję architekta i pieczętarza. Jest uważany za pioniera dziennikarstwa politycznego i publicystyki literackiej, oraz za twórcę pierwszego polskiego koncernu prasowego. Czasopisma wydawane przez Kicińskiego można podzielić na dwa rodzaje: czasopisma literacko-rozrywkowe: *Tygodnik Polski i Zagraniczny, Wanda, Pamiętnik Zagraniczny,* oraz społeczno-polityczne: *Gazeta Codzienna Narodowa i Obca, Kronika Drugiej Połowy 1819 Roku, Orzeł Biały.* Należał on do pierwszych polskich obywateli ziemskich (jak został zresztą określony w spisie lożowym), parających się zawodowo redagowaniem prasy. Jego wkład w rozwój prasy polskiej w pierwszym ćwierćwieczu XIX w. jest niezaprzeczalny. Wprowadził popularne gazety „dla każdego", w swoich tytułach drukował ogłoszenia reklamowe (co było nowością), stosował nowoczesny kolportaż. Jako jeden z pierwszych płacił autorom honoraria. Można przyjąć, iż dzięki jego działalności wytworzyła się w polskim społeczeństwie trwała moda na czytanie prasy codziennej i specjalistycznej.

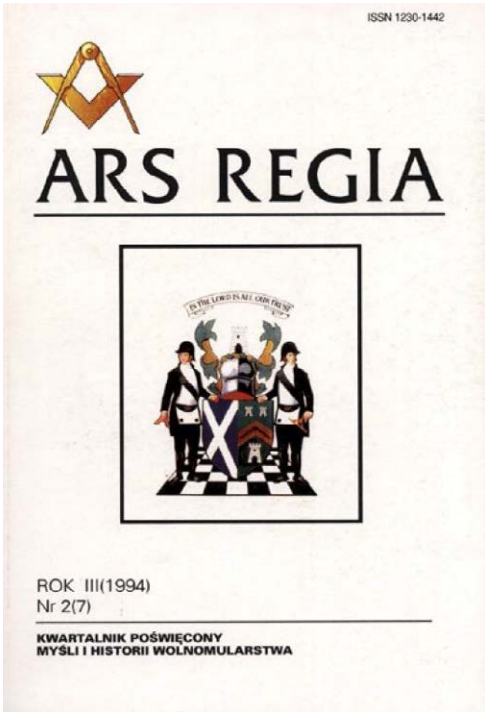

Po kilkudziesięciu latach, na początku XX w, gdy powoli zaczyna się odradzać na ziemiach polskich sztuka królewska (szerzej o tym pisałem w nr. 88 „Forum"), na łamach ówcześnie wydawanych czasopism zaczynają się pojawiać wzmian-

ki o wolnomularstwie, I tak np. w 1907 r. na łamach warszawskiego czasopisma wolnomyślicielskiego *Myśl Niepodległa* (1906-1931) można znaleźć informacje o zawartości poszczególnych zeszytów organu francuskiego wolnomularstwa *L'Acacia.* Z kolei wydawane w Paryżu w tym samym roku *Sprawozdanie półroczne paryskiej sekcji Polskiej Ligi Wolnej Myśli*, które docierało na ziemie polskie, obszernie relacjonowało przebieg dorocznego konwentu (tj. zebrania delegatów lóż) Wielkiego Wschodu Francji z końca września 1906 w Paryżu, zaś pozytywne wzmianki o wolnomularstwie znajdowały się również w dwu innych artykułach *Sprawozdania*.

Również wśród ukazujących się wówczas czasopism można znaleźć reprezentantów sztuki królewskiej. Z *Prawdą* (1881-1915), od 1908 organem Związku Postępowo-Demokratycznego, związany był działacz społeczny i oświatowy, tłumacz **Stanisław Stempowski** (1870-1952) (jego postać zaprezentowałem w nr. 93 „Forum"). *Zaranie* (1906-1915) współredagowali: działacz ruchu ludowego, publicysta **Maksymilian Miłguj-Malinowski** (1860-1948); prawnik, historyk; publicysta **Józef Dąbrowski** (pseudonim Grabiec, 1876-1926); a z młodzieżowym dodatkiem *Młodzi Idą* był związany ideolog spółdzielczości, działacz polityczny **Jan Hempel** (1877-1937). Ukazujący się w latach 1916-1917 *Głos Stolicy* i *Myśl Polską* redagował dziennikarz i publicysta **Witold Giełżyński** (1886-1966).

Witold Giełżyński związał się zawodowo z dziennikarstwem w 1907; był m.in. współpracownikiem wydawanego w Lublinie *Kuriera*. Po odzyskaniu niepodległości czynnie udzielał się w życiu publicznym pełniąc m.in. funkcję dyrektora departamentu w Prezydium Rady Ministrów (1919-1922), był wiceprezesem Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, prezesem Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich, a w 1924 jednym z inicjatorów utworzenia Związku Dziennikarzy RP (1935-1939 jako wiceprezes). W latach 1922-1925 wchodził w skład redakcji *Kuriera Polskiego,* w okresie 1927-1929 był członkiem redakcji i zastępcą redaktora naczelnego dziennika *Epoka,* a w 1932-1933 sekretarzem redakcji tygodnika Świat. Był współzałożycielem i wykładowcą Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. W okresie okupacji był wiceprzewodniczącym tajnej organizacji dziennikarzy w Warszawie, redagował podziemne czasopismo *Wiadomości Polskie*. W 1945-1947 był redaktorem *Gazety Ludowej* a później założycielem Zespołu Starszych Dziennikarzy przy SDP. Do wolnomularstwa został przyjęty w 1912 w warszawskiej loży „Wyzwolenie" (Wielki Wschód Francji), jednocześnie należał do lubelskiej loży „Wolni Oracze". Od 1920 do samorozwiązania w 1938 WLN był członkiem loży „Wolność Przywrócona" w Warszawie.

Jego syn Wojciech Giełżyński (1930-2015), był również dziennikarzem i wolnomularzem. Debiutował w wieku 16 lat na łamach *Gazety Ludowej.* Po ukończeniu studiów ekonomicznych został reporterem działu sportowego tygodnika *Dookoła Świata* Następnie pracował we *Współczesności, Panoramie, Kontynentach* (prowadził dział Azji), współpracował z *Polityką* (1972-1981). W stanie wojennym przeszedł do prasy drugiego obiegu, redagował kwartalnik *Vacat*, współredagował *Przegląd Wiadomości Agencyjnych*. Ostatnim miejscem jego pracy w dziennikarstwie był *Tygodnik Solidarność* (w latach 1989-1992). W 1987 r. uczestniczył w reaktywacji PPS. Pełnił funkcję rektora Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia w Warszawie (1995-2007) Swą aktywność wolnomularską rozpoczynał w Wielkiej Loży Francji, gdzie w 1993 został przyjęty do loży „Libertas pro Fraternitate" by później przejść do lóż Wielkiego Wschodu Polski „Wolność Przywrócona", a następnie „Kultura", gdzie pełnił funkcję Czcigodnego Mistrza. Jest au-

torem wielu artykułów i książek, w tym pracy poświęconej odrodzeniu ruchu masońskiego na ziemiach polskich na początku XX w. *Wschód Wielkiego Wschodu*, Warszawa 2008.

W okresie międzywojennym Wielka Loża Narodowa wydawała jedynie i to nieregularnie *Komunikaty* – druki do użytku wewnętrznego. Zawierały one najczęściej informacje o bieżącej działalności lóż, teksty uchwał, korespondencję między lożami w kraju i za granicą, itp. Podobne *Komunikaty* wydawały placówki wolnomularskie obrządku mieszanego tj. Federacji Polskiej Zakonu Powszechnego Zjednoczonego Wolnomularstwa „Le Droit Humain".

Nie posiadając własnego tytułu prasowego, wolnomularze doceniali oczywiście rolę prasy jako ważnego środka opiniotwórczego. Za taki nieformalny organ Wielkiej Loży można uznać ukazujący się od roku 1926 *Nowy Kurier Polski*, później przemianowany na *Epokę.* Wśród redaktorów i współpracowników było wielu aktywnych wolnomularzy – m.in. **Tadeusz Zagórski** (1883-1934), **Stefan Grostern** (1887-1940), **Józef Wasowski** (1885-1947), czy wspomniany wyżej **Witold Giełżyński**.

Józef Wasowski, pierwotnie Wassercug, pseudonim literacki Widz, już w trakcie paryskich studiów w latach 1904-1908 publikował w *Niwie Polskiej* i *Nowej Gazecie*. W 1907-1908 był redaktorem i wydawcą miesięcznika *Panteon*. W latach 1906-1908 był sekretarzem paryskiej sekcji Polskiej Ligi Wolnej Myśli. Po powrocie do Warszawy w 1909 współpracował m.in. z *Prawdą,* redagował tygodniki *Izraelita* i *Widnokrąg.* Od 1910 był członkiem Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Pokoju, w latach 1914-1915 był więziony. W latach 1916-1917 był współpracownikiem dziennika *Głos Stolicy* (pisma Ligi Państwowości Polskiej). Po odzyskaniu niepodległości w latach 1919-1923 był kierownikiem Wydziału Prasowego MSZ, a następnie – w latach 1920-1926 – był felietonistą i członkiem redakcji *Kuriera Polskiego.* W latach 1925-1932 był założycielem i redaktorem naczelnym Polskiej Agencji Publicystycznej, z której został usunięty przez władze sanacyjne. W 1926 współzałożyciel Spółki Wydawniczo-Dziennikarskiej wydającej dziennik *Nowy Kurier Polski.*

W okresie okupacji ukrywał się jako kancelista w ordynacji Zamoyskiego w nadleśnictwie Lipie. Po wojnie był redaktorem naczelnym *Kuriera Codziennego*, dyrektorem departamentu w Ministerstwie Informacji i Propagandy, posłem do KRN i Sejmu Ustawodawczego, wiceprezesem Rady Naczelnej SD. Jego synem był Jerzy Wasowski (1913-1984), m.in. współtwórca „Kabaretu Starszych Panów", a wnukiem jest dziennikarz i satyryk Grzegorz Wasowski.

Tu warto wspomnieć iż wśród założycieli spółki – oprócz Wasowskiego – wolnomularzami byli: **Seweryn Ludkiewicz** (1882-1964), **Lucjan Aldberg**, a po 1944 Lucjan Altberg Laskowski (1886-1967), **Julian Husarski** (1878-1930), dyrektor zarządzający spółki, czy **Józef Ziabicki** (1871-1958), w 1932 założyciel czasopisma *Epoka*. W okresie, gdy był redaktorem, pismo to było wspomagane finansowo przez Wielką Lożę Narodową Polski. Na jego łamach ukazywały się artykuły pozytywnie oświetlające rolę wolnomularstwa w dziejach Polski, a także notatki kwestionujące tezy Stronnictwa Narodowego i klerykałów mówiących o wszechmocy masonerii w kraju. Również w sposób bardzo dyskretny wyrażano stanowiska Wielkiej Loży wobec istotnych zagadnień życia kraju.

Po roku 1939 rozproszeni po wszystkich kontynentach polscy wolnomularze w nowych miejscach zamieszkania wstępowali do lóż. Z czasem bywali w nich wybierani na rozmaite godności, po przewodniczącego loży włącznie, niekiedy również w Wielkich Lożach. Niemal z reguły nawiązywali łączność z powstałą w grudniu 1939 roku w Paryżu Lożą Kopernik (więcej pisałem

o tym w nr 91 „FMW"). Po latach kontaktom tym w lutym 1970 nadano kształt organizacyjny, a w 1932 powołano do życia całkowicie luźne stowarzyszenie, bez przewodniczącego i zarządu – Społeczność Wolnomularzy Polskich. Do nowego zrzeszenia mogli należeć wolnomularze-Polacy, bądź poczuwający się do związków z polskością, niezależnie od swojej przynależności do takich czy innych lóż i ich central, od obrządku do jakiego zostali przyjęci ani od wzajemnych stosunków pomiędzy tymi centralami. W latach 1971-1988 był wydawany w Paryżu jako nieregularnik *Biuletyn* stowarzyszenia, w którym zamieszczano wiele informacji dotyczących polskiej diaspory wolnomularskiej.

Jednak takim z prawdziwego zdarzenia pierwszym polskim periodykiem wolnomularskim i zarazem pierwszym w polskiej historiografii naukowym czasopismem poświęconym wyłącznie myśli i historii wolnomularstwa, skierowanym zarówno do zawodowych historyków, jak i osób zajmujących się amatorsko historią, była *Ars Regia (Sztuka Królewska),* ukazująca się w latach 1992-2013 (z blisko 6 letnią przerwą pomiędzy 2000 a 2006 rokiem). Przez pierwsze dwa lata wychodziła jako kwartalnik, a następnie półrocznik oraz rocznik. W sumie wyszło 20 numerów w 15 samodzielnych zeszytach. *Ars Regia* była dostępna w prenumeracie i w nielicznych księgarniach, specjalizujących się w literaturze naukowej, jak np. w Głównej Księgarni Naukowej w Krakowie czy w księgarni im. B. Prusa w Warszawie.

Trzon zespołu redakcyjnego *Ars Regia,* działającego całkowicie społecznie, składał się z akademickiego skrzydła odrodzonej w 1991 Wielkiej Loży Narodowej Polski: **Tadeusza Cegielskiego**, który został redaktorem naczelnym, historyka z UW, od lat zaangażowanego w propagowanie wiedzy na temat masonerii, w latach 2000-2003 Wielkiego Mistrza WLNP, obecnie jej Honorowego Wielkiego Mistrza, prezesa stowarzyszenia „Instytut Sztuka Królewska w Polsce"; **Włodzimierza Lengauera** – historyka starożytności z UW, **Janusza Maciejewskiego** (1930-2011) – historyka literatury z UW oraz IBL PAN, a zarazem współtwórcy powojennego odrodzonego wolnomularstwa, w latach 1994-1999 Wielkiego Mistrza WLNP; **Michała Otorowskiego**, historyka kultury. Wśród pozostałych członków redakcji wymienić można m.in. **Elżbietę Wichrowską**, historyczkę literatury z UW i znawczynię poezji masońskiej, **Piotra Pazińskiego**, **Jerzego Rohozińskiego**, **Krzysztofa Skwierczyńkiego**, **Krzysztofa Załęskiego** (1939-2016), **Annę Marię Bauer**, **Bartosza Samitowskiego**, **Waldemara Gniadka,** w latach 2007-2011 Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Polski.

Ze względu na merytoryczną zawartość, każdy kto zajmuje się lub interesuje „sztuką królewską", nie może pominąć *Ars Regia*, której komplet obecnie dostępny jest w większych bibliotekach naukowych. Z zawartością periodyku można się również zapoznać za pomocą strony internetowej https://bazhum.muzhp.pl/czasopismo/71/ .

Rok później, w 1993, ukazał się na rynku prasowym drugi masoński tytuł: *Wolnomularz Polski.* Od początku czasopismo deklarowało się jako „Niezależne i Liberalne Pismo Przyjaciół Sztuki Królewskiej". Przez pierwsze dwa lata (1994–1995), ukazywało się ono w miarę regularnie w cyklu dwumiesięcznym; było do nabycia nie tylko w prenumeracie, ale również w niektórych księgarniach i empikach większych miast, a jego wydawcą była Agencja Promocyjno-Wydawnicza „Akacja". Od stycznia 1996 r., z powodów głównie finansowych, zrezygnowano ze sprzedaży w kioskach i księgarniach. Rozprowadzane było odtąd wyłącznie w obiegu wewnętrznym oraz w prenumeracie „non profit" dla grona stałych czytelników i stało się „nieregularnikiem". Zmieniła się również szata ty-

pograficzna i druk zamieniony został na odbitki kserograficzne. Można pół żartem a pół serio określić, iż czasopismo upodobniło się wówczas do nielegalnej „bibuły", ze względu na stosunkowo nieduży krąg odbiorców oraz sposób powielania. W roku 2012 tytuł powrócił w nowej formule, zaczął ukazywać się jako kwartalnik (w nakładzie kolekcjonerskim 333 egz.), był dostępny w prenumeracie, a w wolnej sprzedaży jedynie w warszawskiej księgarni im. B. Prusa.

Wolnomularz Polski miał nieco inny charakter niż naukowa *Ars Regia*. Było to pismo o charakterze publicystycznym, popularnonaukowym. Oprócz tekstów poświęconych przeszłości sztuki królewskiej publikowało materiały dotyczące aktualnych wydarzeń dotyczących wolnomularstwa w kraju i na świecie, jak również starało się na bieżąco śledzić wszelkie wydawnictwa dotyczące masonerii i publikować o nich informacje. Do 2018 ukazało się 76 numerów tego czasopisma.

Pomysłodawcą, założycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym *Wolnomularza* był **Adam Witold Wysocki** (1924-2018), a sekretarzem redakcji (2016-2018 naczelną) jego żona **Mirosława Dołęgowska-Wysocka**, której sylwetkę przedstawiłem w nr. 98 „FMW".

Adam Witold Odrowąż-Wysocki urodził się 12.02.1924 w Przemyślu. Rodzicami jego byli Emilia Wysocka (1902-1995) oraz Klemens Wysocki (1900-1952). W 1943 wywieziony został na roboty do Niemiec. Od 1944 r. do 1945 r. walczył w Polskich Siłach Zbrojnych. W latach 1945–1947 studiował w Instytucie Nauki o Prasie w Wiedniu, następnie na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (1947–1948). W 1948 r. został na kilka miesięcy aresztowany, był podejrzany o działalność w WIN. W 1950 r. ukończył studia na Wydziale Dziennikarstwa Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Krakowie. W tym samym roku podjął pracę w dziennikarstwie, m.in. w Życiu Warszawy (1972-1980 jako zastępca redaktora naczelnego) oraz w *Kurierze Polskim* (1967-1972 jako zastępca redaktora naczelnego). Przez kilkanaście lat był zatrudniony jako wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. W latach siedemdziesiątych sprawował mandat radnego Rady Narodowej Miasta Stołecznego Warszawy. W okresie 1980–1981 był zatrudniony w Biurze Rzecznika Prasowego Rządu PRL, następnie był członkiem Prezydium Komitetu ds. Radia i Telewizji, wicedyrektorem *Radia Polonia,* oraz redaktorem naczelnym programu *Radia Polonia* (1981–1986). Jest również autorem książek, m. in. *Na zielonej murawie (*1954) oraz kilku tytułów z popularnej niegdyś serii „Żółtego tygrysa": *Przez druty Oświęcimia* (wspólnie z Henrykiem Korotyńskim (1961, 1964); *Duce, aresztuję pana* (1962); *Operacja „Weserübung"* (wspólnie z Krzysztofem Kuliczem (1963, 1968); *Pięć po dwunastej* (1965); *Kokino kłamie* (1967); *Spadochrony nad Arnhem* (1969, 1972).

W roku 1947 wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, nie przyłączył się do PZPR. Od 1957 r. był członkiem Stronnictwa Demokratycznego. W 1986 r. objął kierownictwo Wydziału Propagandy i Prasy Centralnego Komitetu SD, następnie został rzecznikiem prasowym Stronnictwa, którą to funkcję pełnił przy Okrągłym Stole. W 1989 r. przeszedł na emeryturę.

Od 1992 r. związał się z ruchem wolnomularskim. W październiku tego roku został inicjowany w loży „Wolność Przywrócona", wówczas należącej do WWF, następnie przeszedł do loży „Europa" gdzie w maju 1994 r. nadano mu stopień mistrza, a w 1998 r. został jej Czcigodnym Mistrzem. Później przeszedł do loży „Nadzieja". Był współzałożycielem powołanego w lipcu 1997 r. Wielkiego Wschodu Polski, w styczniu 1998 r. został zastępcą Wielkiego Mistrza WWP ds. mediów, w latach następnych pełnił honorową funkcję Wielkie-

go Edytora WWP, a w 1994 r. zainicjował Polską Grupę Narodową Uniwersalnej Ligi Masońskiej, której został Prezydentem. Był członkiem założycielem utworzonego w 2012 r. w Warszawie stowarzyszenia „Instytut „Sztuka Królewska w Polsce", którego celem jest inspirowanie, prowadzenie oraz koordynacja badań naukowych na temat przeszłości oraz teraźniejszości wolnomularstwa polskiego i światowego, przechowywanie oraz udostępnianie materialnych i niematerialnych świadectw dotyczących masonerii, wymiana informacji oraz wszechstronna popularyzacja wiedzy na temat wolnomularstwa i pokrewnych mu zjawisk. W kwietniu 2018 r., na mocy jednogłośnej decyzji Rady Najwyższej Polski Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego został podniesiony do najwyższego, 33 stopnia wtajemniczenia wolnomularskiego.

Był żonaty z dziennikarką, Anną z Moszczeńskich Wysocką (1926-1980), z którą miał syna Alfreda Wysockiego (1950-2023), artystę malarza. Po jej śmierci związał się Mirosławą Dołęgowską-Wysocką, z tego związku ma córkę Aleksandrę, także dziennikarkę i wydawczynię (*Gazeta Ubezpieczeniowa*). Zmarł 16.10.2018, pochowany został w Warszawie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach (kwatera A22-7-12),

W 2021 z inicjatywy żony powstało Domowe Muzeum Wolnomularstwa im. Adama W. Wysockiego https://masonskiemuzeum.pl/, od 2022 należące do Międzynarodowej Sieci Muzeów Domowych. M.in. na stronie Muzeum można znaleźć w zakładce „czytelnia" zdigitalizowane wszystkie numery *Wolnomularza Polskiego* oraz *Akacji* – magazynu aktualności, wydawanego również przez małżeństwo Wysockich. Był to periodyk o charakterze typowo informacyjnym, zawierający wiadomości z życia lóż w Polsce i na świecie oraz przedruki tekstów poświęconych sztuce królewskiej z prasy krajowej i zagranicznej. Ukazywał się w latach 2004-2006 w obiegu zamkniętym.

W obiegu zamkniętym, wyłącznie do użytku wewnętrznego, pojawiły się również wydawane przez polskie obediencje różnego rodzaju biuletyny, jak np. *Więzy* wydawane przez Droit Humain, *Atena* – WWP czy *Merkuriusz Szymbarski* WLNP.

Obecnie najpopularniejszą formułą publikowania stał się Internet, do którego dostęp jest powszechny i dzięki temu medium można dotrzeć do bardzo szerokiego kręgu odbiorców; i co jest też istotne, ponosząc z tego tytułu o wiele mniejsze koszty finansowe lub całkowicie bezkosztowo. Praktycznie wszystkie działające obecnie w Polsce obediencje, jak i poszczególne loże, posiadają swoje strony internetowe, a wiele z nich ma także profile na popularnym portalu społecznościowym Facebook.

Adresy internetowe wszystkich polskich obediencji oraz poszczególnych lóż – jak też aktualności dotyczące masonerii – można znaleźć na portalu Masoneria w Polsce https://wolnomularstwo.pl/, redagowanym od 2006 przez **Klausa Dąbrowskiego.**

Klaus Dąbrowski pierwszych trzech stopni wtajemniczenia dostąpił w loży „Europa" (WWP). Od 2005 jest członkiem Uniwersalnej Ligi Masońskiej (UFL). Od 2018 kieruje *Freemasonry network* https://freemasonry.network/ – jednym z największych na świecie serwisów internetowych poświęconych wolnomularstwu. W 2010 został wyniesiony do 33, najwyższego stopnia Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego przez Radę Najwyższą Wielkiej Loży Włoch. Obecnie pełni urząd Suwerennego Wielkiego Komandora Rady Najwyższej Polski. Jest inicjatorem, autorem przedmowy i redaktorem II wydania *Filozofii Masonerii* Andrzeja Nowickiego, wyd. „Trialog" 2022; w tym samym roku w jego tłumaczeniu i redakcji ukazała się książka *Masoni 555 ilustracji* (*antologia)*, gdzie jest autorem wstępu, przypisów oraz doboru ilustracji, a w 2023 wydał w „Trialogu" *100 Masonów, którzy zmienili świat*.

W czerwcu 2023 z inicjatywy osób związanych z wydawnictwem Les Amis

Renuis ,https://lesamisreunis.pl/, mającym siedzibę w Bielsku Białej, ukazał się numer sygnalny pisma *Masoneria XXI w*, które ma być kwartalnikiem. Redaktorem jest **Daniel Soszka**, jednocześnie szef i właściciel wydawnictwa. Oprócz numeru sygnalnego w 2023 r. ukazał się również nr 1.

Myślą przewodnią tego nowego masońskiego tytułu, jak napisał sam pomysłodawca w słowie od wydawcy w numerze sygnalnym, ma być nowy wiek i próba odpowiedzi na pytanie, jak zmienia się masoneria współcześnie, jak dostosowuje się do nowej technologii czy panujących trendów. Autorami tekstów w nim publikowanych mają być wolnomularze z różnych polskich obediencji, bez podziałów i sympatii, bez cenzury i tematów tabu. Magazyn jest też otwarty na autorów-profanów (nie będących masonami), a zajmujących się zawodowo czy amatorsko problematyką wolnomularską.

Masoneria XXI jest rozprowadzana głównie w formie elektronicznej (na stronie wydawnictwa można nabyć poszczególne numery) dzięki temu jej dostępność jest większa a przy tym i cena niższa. Każdy numer ma również swoją limitowaną (50 egz.) wersję papierową, przeznaczoną głównie dla większych bibliotek naukowych i bardzo nielicznych odbiorców indywidualnych. □

Wykorzystano m. in:

Leon Chajn, *Polskie wolnomularstwo 1920-1938*, Warszawa 1984;

Ludwik Hass, *Sekta farmazonii warszawskiej. Pierwsze stulecie wolnomularstwa w Warszawie (1721-1821)*, Warszawa 1980; tenże, *Masoneria Polska XX wieku. Losy, Loże, Ludzie*, Warszawa 1996; tenże, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny,* Warszawa 1999; Karol Czok, *Prasa związana z wolnomularstwem w dwudziestoleciu międzywojennym na przykładzie periodyku „Epoka"*, Dąbrowa Górnicza 2012; Adam Witold Wysocki, *Jak wydawać masońskie pismo*, Biblioteczka Wolnomularza Polskiego nr 2/1996; Małgorzata Pietkiewicz, *Prasa wolnomularska w Polsce – powstanie i rozwój „Wolnomularza Polskiego" w latach 1993-2005*, Szkice Humanistyczne (Olsztyńska Szkoła Wyższa im. Józefa Rusieckiego) 2006, nr3/4, s. 61-70; *Prasa wolnomularska w Polsce po 1945 roku*, Forum Politologiczne (INP UWM Olsztyn) 2007, t. 5, s. 309-317; Daria Nałęcz, Życiorys konsekwentny (Józef Wasowski), Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/3-4 1992, s. 203-208, oraz Bogumił M. Woźniakowski *Przyczynek do dziejów polskiego czasopiśmiennictwa wolnomularskiego,* Ars Regia 2009, nr 18, s. 175-185; tenże, *Br. Bruno Kiciński – hrabia redaktor*, Wolnomularz Polski 2017, nr 70, s.43-45; tenże, *Polskie periodyki wolnomularskie,* w tegoż: *Szkice z historii polskiej masonerii,* Kraków 2018, s. 15-37; tenże, *Polskie współczesne czasopiśmiennictwo wolnomularskie 1992-2017: szkic historyczno – prasoznawczy,* w: *Wielość w Jedności Jedność w wielości. W 300 rocznicę Narodzin Masonerii Spekulatywnej,* Kraków 2022, s. 243-264.

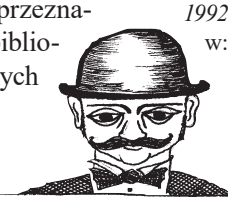

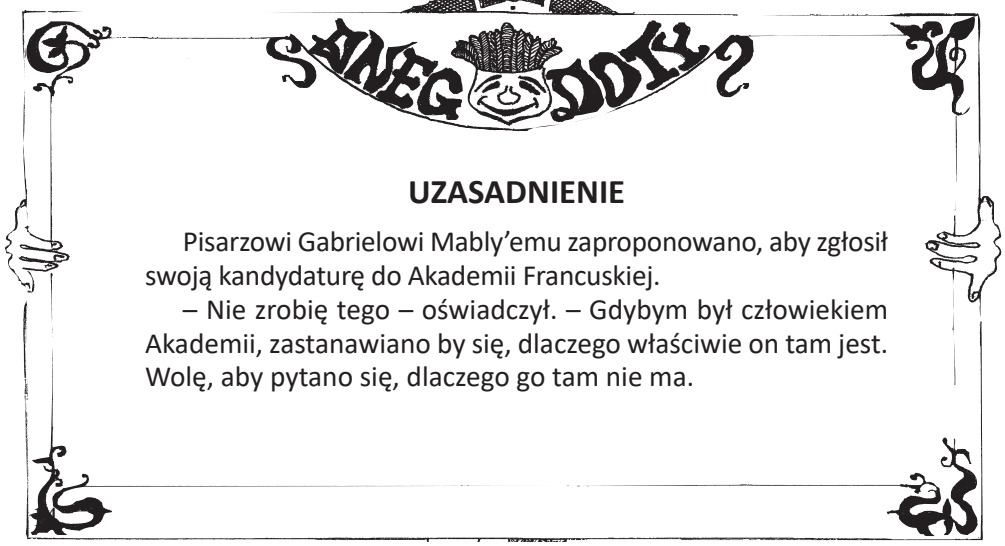

UZASADNIENIE

Pisarzowi Gabrielowi Mably'emu zaproponowano, aby zgłosił swoją kandydaturę do Akademii Francuskiej.

– Nie zrobię tego – oświadczył. – Gdybym był człowiekiem Akademii, zastanawiano by się, dlaczego właściwie on tam jest. Wolę, aby pytano się, dlaczego go tam nie ma.

SŁAWOMIR J. TABKOWSKI

ALFABET BLISKICH NIEOBECNYCH

W polskiej tradycji są dwa święta, jakże od siebie odmienne, łączące jednak doznania i pamięć o naszych bliskich, tych nieobecnych.

Minął listopad, a z nim najsmutniejszy czas w każdym roku — Dzień Zmarłych (Wszystkich Świętych), Dzień Zaduszny (Zaduszki). Zapłonęły miliony nagrobnych świateł naszej pamięci, przywoływane są wydarzenia i postaci, w różnych relacjach i w odmienny sposób. Tworzyły one i kształtowały nasz świat i każdego z nas.

To reminiscencje o minionych pokoleniach i o okresie, w którym los dał im, i dał nam, egzystować na tej ziemi. Pchali świat do przodu swą wiedzą i przekonaniem o słuszności idei, której się poświęcili. Otwierali nasze oczy na coraz to nowe problemy. Wzbogacali współczesność i współtworzyli jej obraz. Inni kazali się zastanowić, zmuszali do refleksji i zadumy. Przyciągali nas swoimi poczynaniami i aktywnością — twórczością różnorodną. Tłumaczyli nam życie, każdy po swojemu, działalnością publiczną, literaturą, filmem, sztuką teatralną, dziełem muzycznym czy plastycznym. Jeszcze inni bawili nas, wywoływali uśmiech na zmęczonych czasem twarzach, wzruszali tworząc niezapomniane kreacje. Byli ważącą częścią kraju i naszego — mojego życia.

Różnili się czasem krańcowo politycznymi przekonaniami i światopoglądem, własną historią i doświadczeniem życiowym, realizowanymi funkcjami, wreszcie wiedzą i wpływem, jaki odcisnęli na naszym pojmowaniu świata. Inni jeszcze nie dawali recept prostych, krzewili szacunek dla odmiennych poglądów i postaw. Nasi najbliżsi, nauczyciele, mentorzy, starsi przyjaciele — wszyscy — przez mozaikę różnorodności tworzyli naszą i moją rzeczywistość.

Nadchodzi grudzień, a z nim wolne miejsce przy wigilijnym stole, które w myśl tradycji przeznaczano dla zagubionego wędrowca, którego do wspólnej wieczerzy należało zaprosić. W miarę upływających wydarzeń zmieniało ono swoją symbolikę. W okresie drugiej wojny przypominało najbliższych nieobecnych, wyrwanych z rodzinnego gniazda, zaginionych, gdzieś walczących, uwiezionych w hitlerowskich obozach czy w sowieckich łagrach. W powojennych czasach wolne nakrycie przy stole było znakiem oczekiwania i nadziei, że oni jednak żyją, że są gdzieś tam w świecie, że wrócą.

W miarę upływu lat ta symbolika odchodziła w niepamięć, acz trudno było zapomnieć tragiczne zdarzenia z kilku polskich miesięcy. Wreszcie przy wigilijnym stole to wolne miejsce czas pozbawił piętna przemocy, zastępując je traumą pamięci o najbliższych, którzy odeszli, a tak przecież niedawno byli tu z nami.

Każdy ma taką Aleję Najbliższych Nieobecnych. Moja, w miarę upływających lat, jest coraz dłuższa i przekroczyła listę bliskich mi żyjących. Przywołuję tu zapewne nie wszystkie w moim życiu ważne postacie, które poznałem i wiele im zawdzięczam. Zapomnianym składam równie głęboki hołd, bo dzięki nim także moje losy i życie nabrały najważniejszego sensu – zostawić dobry ślad na tej ziemi.

ALEJA POSTACI WIELKICH

Julian Aleksandrowicz – w świecie medycyny postać wybitna, żołnierz polskiego września i AK o ps. „doktor Twardy", odznaczony orderem Virtuti Militari. Profesor nauk medycznych, filozof. Mówiono „ostatni taki lekarz", co stanowi najwyższą ocenę wiedzy medycznej i charakteru wspaniałego człowieka. Zajmował się całą fizycznością i psychiką pacjenta. Szczególnie badaniami i popularyzacją ochrony zdrowia w oparciu o wykorzystanie magnezu i innych pierwiastków, oraz szkodliwemu wpływowi innych. Otwierał nowe spojrzenia na ratowanie organizmu ludzkiego. Mówił, że „Człowiek jest wart tyle, ile uczyni dla drugiego". To trauma getta spowodowała, że do każdego zagadnienia podchodził zawsze w sposób głęboko humanistyczny. Nie szukałem nigdy zdrowotnej pomocy u Profesora, ale po każdym spotkaniu w jego domu wychodziłem wzbogacony rozważaniami i sugestiami. Również publikacjami, także prasowymi w „Gazecie Krakowskiej", w których tłumaczył m.in., że nie ma nieuleczalnie chorych, że istnieje związek kuchni z medycyną, a na naszych oczach rodzi się nowa medycyna jutra.

Kazimierz Barcikowski – przybył do Krakowa na stanowisko I sekretarza KK PZPR, a różni złośliwcy, nawiązując do jego poprzedniej funkcji ministra rolnictwa, wieścili, że zaorze Rynek Główny. Okazał się postacią zbawienną dla miasta. To w tamtym czasie rodziła się idea odnowy zaniedbanych zabytków Krakowa, powstał nie tylko Ogólnopolski Komitet, ale i szeroki ruch społeczny przywracający zaniedbane stare miasto do świetności.

Obserwowałem wtedy jego pragmatyczny stosunek do wielu publicznych kwestii, budzący opór niezrozumienia nie tylko celu, ale i dróg do jego osiągnięcia. W okresie pracy w Warszawie wielokrotnie doświadczałem podobnych opinii i postaw Barcikowskiego na najwyższych szczeblach władzy, a dużo później w mieszkaniu Kazimierza interesujących rozmów; i nie ukrywam – domowej nalewki. Był klasycznym przykładem awansu społecznego z mazowieckiej wsi. Żołnierz AK i działacz lewicy z doktoratem z ekonomii i głębokim zrozumieniem polskich spraw. Najlepiej oddał je w swoim słynnym, szczecińskim przemówieniu, kończącym negocjacje ze strajkującymi. Na jego pożegnaniu na warszawskich Powązkach przez myśl przeszły mi dwa tomy jego niezwykłych wspomnień.

Czesław Banach i Jan Nowak – niedoścignione postacie wieloletnich kuratorów oświaty w Krakowie, autorytetów dla nauczycielstwa, doskonale rozumiejących uczniów. Wielokrotnie słuchałem i miałem okazję konfrontować te słowa na ich spotkaniach z młodzieżą. Później Czesław był profesorem, uczył przyszłych pedagogów i pisywał interesujące, krótkie formy literackie, a Janek wieloletnim wiceprezydentem Krakowa i od zawsze wielkim fanem piłki nożnej. Pod koniec prezesem TKŚ.

Zbigniew Bauman. Z Profesorem siedziałem na ławeczce przed jego spotkaniem w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego i niejako sprawozdawałem z moich socjologicznych prac. Przepełniona sala, przeważnie młodych ludzi, witała i żegnała Mistrza na stojąco długimi oklaskami. Zapewne także z uwagi na celność jego myśli: „ponowoczesność niesie ze sobą, w miejsce nowoczesnego porządku, niestabilność i brak oparcia w osłabionych strukturach państwowych. Wolnorynkowa gospodarka (…) zaoferowała ludzkości (…) wolność słowa (…) egzystencja w ponowoczesności jest obciążona niepewnością o lepszą przyszłość." Właśnie z tą epoką płynnej nowoczesności zderzamy się codziennie, poszerzoną o jej polską „specyfikę".

Edward Brzostowski – twórca wyjątkowego, jak na czasy PRL, Kombinatu Rolniczo-Przemysłowego Iglopol w Dębicy, który skutecznie i ze społecznym pożytkiem zaistniał na polskim rynku. Edward

był omnibusem, zajmował się niejako wszystkim: produkcją rolną i żywnością, ochroną zabytków, był wiceministrem rolnictwa i prezesem PZPN, oraz walnie przyczynił się do budowy jednego z kościołów. W tamtym okresie, niekoniecznie łatwym dla „wychylających się", swymi czynami dowodził, że chcieć to móc.

Michaił Gorbaczow – witałem się z nim i z panią Raisą na Okęciu i towarzyszyłem, z racji pełnionej funkcji, całej wizycie, pełnej wyjątkowego ciepła, nawet entuzjazmu, gdy tylko się pojawiał. Dużo wcześniej, podobnie jak wielu Polaków, miałem przekonanie, że właśnie on może dokonać zmian w radziecko-polskich stosunkach; i więcej: zaproponuje nowy, lepszy polityczny świat, który niestety poszedł swoją utartą drogą rywalizacji i konfliktów.

Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar i Krzysztof Penderecki – wybitni kompozytorzy polskiej muzyki poważnej, których utworów wielokrotnie doświadczałem jako czasu wyjątkowych doznań i wzruszeń. Miałem okazję rozmawiać i spotykać Maestrów w niezwykłych okolicznościach: Góreckiego przy heblu, bowiem ten rodzaj aktywności uwielbiał, Kilara i jego małżonkę Barbarę w ich zacisznym, rodzinnym domu na Śląsku, Pendereckiego oprowadzającego po swoim ukochanym ogrodzie. Nie zawiedli i stanęli w obronie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w czasach prywatyzacyjnego szaleństwa Skarbu Państwa.

Tadeusz Hanausek – profesor prawa i ostatni wielki kryminalistyk, a jednocześnie przez wiele lat I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nikt w tamtych i późniejszych latach nie odważył się zarzucić profesorowi braku kompetencji naukowych uznawanych za wybitne. Otwarty i bardzo lubiany przez studentów. Poznałem go w prywatnych okolicznościach, później przez lata słuchałem jego trafnych opinii i niezwykłych opowieści okraszanych znakomitym dowcipem. W ostatniej telefonicznej rozmowie też zażartował.

Tadeusz Hołuj – człowiek legenda, pisarz, publicysta i działacz polityczny, uczestnik kampanii wrześniowej i członek ZWZ, więzień Auschwitz, po wojnie w PPR i PZPR, acz często niepokorny i mający swoje racje. Współtwórca krakowskiej „Kuźnicy" i jej długoletni prezes. Wielokrotnie słuchałem argumentacji i toku myśli Tadeusza, ale najtrudniejszą rozmowę prowadziłem 5 lutego 1982 roku w jego daczy w okolicach Mszany Dolnej. Po długiej dyskusji wyraził akceptację na nową formułę „Kuźnicy". w związku z wcześniejszą decyzją Biura Politycznego o jej rozwiązaniu. Uratowana „Kuźnica", pomimo licznych przeobrażeń, nadal jest ostoją lewicowych myśli, ale tablica poświęcona Hołujowi w III RP musiała oczywiście zniknąć. Wspominam tamte niezliczone godziny, w których dzięki Tadeuszowi i licznym innym wykuwało się i moje widzenie świata.

Józef Klasa – budował w Krakowie, w pierwszej połowie lat 70., oczekiwaną, nową partyjną politykę. I sekretarz KW PZPR – pochodził z Grobli pod Bochnią – był wybitną osobowością i zaprzeczeniem typowego aparatczyka. Jego otwartość na świat nabyta na dyplomatycznych stanowiskach, wiedza i poglądy, przekonywujący sposób ich wyrażania, konkret w działaniu i w wypowiedziach z odwagą obrony prawdy, a nadto postawa z ciepłym uśmiechem, oznaczały, że oto spotkaliśmy mądrego, dobrego człowieka. Uwiódł Kraków – z szacunkiem był przyjmowany w robotniczych, ale i w inteligenckich środowiskach. Współtwórca krakowskiej „Kuźnicy" oraz Fundacji Kultury Polskiej. Do przypowieści należą jego pobyty w Piwnicy pod Baranami, spotkania studenckie w Jaszczurach, zamszowa marynarka i najmodniejsze, wielobarwne, szerokie krawaty.

Aleksander Krawczuk – Profesora nic nie mogło zdziwić, ani mu zaszkodzić, z ra-

cji jego wiedzy o wszystkim co się już zdarzyło. Co prawda w starożytności, ale to tak samo jak dziś, tylko trochę wcześniej. Nawet kwiatki z łodygami do góry wręczone paniom na jakiejś ministerialnej uroczystości nie przyniosły mu ujmy. Wielki umysł, wspaniały gawędziarz, autor interesujących książek i licznych tekstów w „Gazecie Krakowskiej". Wtedy niejako wszystko o profesorze wiedziałem, ale zaskoczył, zapewne wielu, lewicowym wyborem i pobytem na parlamentarnych ławach SLD.

Franciszek Macharski – kardynał i Metropolita Krakowski, z którym w czasie PRL i III RP miałem okazję się spotykać. Zachwycał serdecznością, życzliwością i chęcią okazania pomocy. Nie przeszkadzał mu mój były, również po latach, polityczny wybór – zawsze szło o kwestie ważniejsze ponad jakimikolwiek podziałami. Mądrością, postawą i szacunkiem dla innych Książę Kościoła w czasie swojego krakowskiego władztwa uczynił bardzo wiele dla wszystkich.

Mieczysław F. Rakowski – był dla mnie od początków „Polityki", którą zachłannie czytałem, osobowością wyjątkową na tle powszechnej szarości i nijakości licznych, nie tylko partyjnych, oficjeli. Jego cała droga życiowa – chłopskiego syna, tym razem z Wielkopolski, związana była z nowym ustrojem, z próbami jego doskonalenia, a później zmianami. Jak to niestety w Polsce bywa, rzucanych mu pod nogi kłód nigdy nie brakowało. Miałem okazję to wielokrotnie obserwować. Jego potencjał intelektualny, otwartość na świat i na zmiany, również konsekwencja i osobista odwaga, predysponowały go do najwyższych stanowisk – to z wielkim pożytkiem dla kraju. Było jednak, jak zawsze, za późno. Poznałem go blisko, gdy był moim szefem, później w licznych kontaktach. Wystarczyło, abym go uznał za jednego z najlepszych w moim życiu przełożonych, a tym samym Mentora.

Zbigniew Skolicki – postać dziś zapomniana, a nowe polityczne władze Krakowa w latach 90, w ramach przyśpieszonej dekomunizacji, usunęły jego nazwisko jako patrona ulicy. Pochodził z robotniczej rodziny zamieszkałej na równie robotniczym i biednym krakowskim Ludwinowie. Był członkiem PPS, a po zjednoczeniu PZPR. Od 1959 do 1969 pełnił funkcję przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa, czyli prezydenta. W tym okresie nastąpił nieprawdopodobny wręcz rozwój miasta: rozbudowano Nową Hutę o kilka osiedli, uruchomiono pociąg elektryczny do Wieliczki, połączenia tramwajowe nie tylko do Prokocimia, zlikwidowano lotnisko w Czyżynach i otwarto nowe w Balicach, rozpoczęto budowę ośrodka telewizyjnego na Krzemionkach, zaczął pracę zespół klinik pediatrycznych w Prokocimiu. Właśnie wtedy tak go doświadczałem. Ta ulica Skolickiego była na Ludwinowie, który to rejon zamienił w liczącą się część Krakowa.

Wanda Śmielak-Koronbel – kardiolożka, doc. dr hab., należała do grona wybitnych medyków, w którym znaleźli się prof. Antoni J. Dziatkowiak, Zbigniew Lew-Starowicz, Mirosław J. Mossakowski, Zbigniew E. Religa, Andrzej Szczeklik. Kompetentna i stanowcza, a jednocześnie serdeczna, uśmiechnięta i dodająca pacjentowi otuchy. Poświęcała swój czas pozazawodowy na związki z teatrem Tadeusza Kantora, działalność fundacji „Pomóż swojemu sercu", którą stworzyła z wielkim pożytkiem dla doposażenie szpitala w sprzęt medyczny. Nadto była założycielką i wieloletnią prezeską Krakowskiego Klubu Dyskusyjnego „Amicus". Pozostawiła po sobie wdzięczną pamięć pacjentów, wychowanków, wszystkich, którzy mieli okazję poznać Panią Docent. Moją wyjątkową.

Kazimierz Węglarski, Janusz Pieczkowski, Witold Adamuszek – przewodniczący Prezydium Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej oraz I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Nowym Sączu – byli twórcami eksperymentu sądeckiego. Programu aktywizacji i rozwoju Ziemi Są-

deckiej z 1958 roku, wyjątkowego w tamtym czasie wydarzenia niosącego rozwój miasta i powiatu, a także stanowiącego przykład i możliwość dla innych regionów kraju. Znałem wszystkich, jak większość mieszkańców Sądecczyzny, oczekiwałem efektów tej inicjatywy. Zapamiętałem fragment szczególnej wypowiedzi Węglarskiego: „Zmienimy nazwę miejscowości nad jeziorem Rożnowskim z Kobyle Gródka na Gródek nad Dunajcem – będzie się pięknie kojarzyć [z Gródkiem Jagiellońskim na Wschodnich Kresach Rzeczpospolitej – S.T.] i turyści tłumnie tam zjadą". I tak się stało, nie tylko to.

ALEJA NAUCZYCIELI I MENTORÓW

W liceum oświecili i formowali mnie: polonista **dr Eugeniusz Pawłowski** (późniejszy profesor w WSP w Krakowie), który skierował moje zainteresowania na dziennikarstwo, **Franciszek Grotkowski** – więzień obozów koncentracyjnych – nauczał rozumienia historii, **Ryszard Gesing** – działacz PPS i PZPR – przyswoił logikę, której wiele zawdzięczam w życiu**. J**eszcze **ks. Józef Gucwa** – co prawda rozeszły się nasze światopoglądowe drogi – partyzant w czasie wojny, nasz niezwykły katecheta, późniejszy biskup, którego zapamiętałem jako wyjątkowego duchownego, otwartego na świat już w tamtych latach.

Podczas studiów socjologicznych w Uniwersytecie Jagiellońskim spotkałem postacie wybitnych uczonych, serdecznych, ale wymagających, tworzących doskonałą, swobodną atmosferę podczas zajęć i terenowych badań: **profesorów Kazimierza Dobrowolskiego** i **Pawła Rybickiego**, doktorów, a później też profesorów**: Władysława Kwaśniewicza** i **Jerzego Wiatra.**

Prof. **Stanisław Widerszpil –** przez trzy lata był moim Mistrzem; nie wspominam tu o jego naukowych osiągnięciach, lecz o roli opiekuna, kierującego młodym człowiekiem po nieznanych wymogach i meandrach pracy naukowej. Zawsze otwarty na niekonwencjonalne pomysły, nowe i odważne poszukiwania, co nie jest zbyt częstą cechą naukowca, wywołując obawy o bieg kariery. Wyraził aprobatę dla tematu, obszaru i wielkości moich badań socjologicznych, stanowiących podstawę pracy doktorskiej. Później obronionej, uhonorowanej nagrodą ministra, ale do druku wstrzymanej przez cenzurę. Przyjaźniliśmy się przez dziesiątki lat, odwiedzaliśmy się. Stanisław recenzował moje kolejne socjologiczne dociekania, mówił mi także, dlaczego Polski nigdy nie miał zamiaru opuścić.

Pochodził z biednej żydowskiej rodziny, tzw. wielką maturą uzyskał w Nisku. Po wybuchu wojny cała rodzina uciekła do Lwowa. Ojciec odmówił przyjęcia nowego, radzieckiego obywatelstwa, a więc koleją rzeczy wywieziono ich na Syberię. Do kraju wrócił z polskim wojskiem. Pracował przez lata w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. „Owszem – wspominał W. Kwaśniewicz – stosowano rodzaj sankcji towarzyskiej wobec niektórych ludzi z aparatu partyjnego, czy WSNS przy KC, unikając z nimi bliższych kontaktów i ważąc słowa. Ale też nie dotyczyło to wszystkich, jak np. Staszka Widerszpila, który cieszył się opinią przyzwoitego człowieka".

Prof. **Feliks Kiryk** – wybitny mediewista. I choć ten okres historii nie cieszył się moim zainteresowaniem, to połączyły nas poczynania wydawnicze, a później serdeczna przyjaźń trwająca prawie pięćdziesiąt lat. Starszy powojennym doświadczeniem – ucieczką z bieszczadzkiej wsi, spalonej przez UPA, w szczecińskie – zawsze marzył o studiach w Krakowie. Spełniły się niejako w nadmiarze, gdy został rektorem Akademii Pedagogicznej (dawniej WSP, dziś UP). Był moim Mentorem**,** wiele dzięki niemu zrozumiałem i nauczyłem się. Głęboko wierzący, politycznie najbliżej miał do ruchu ludowego, ale przede wszystkim nigdy nie zawodził. Również w niełatwych dla mnie latach dziewięćdziesiątych.

Prof. **Wiktor Zin.** – Gdy oglądałem jego cykliczny program „Piórkiem i węglem" – w TVP gościł przez blisko 30 lat – nie spodziewałem się, że połączą nas związki szczególne. Okazało się, że moja ciocia, Jadwiga Grygiel-Jęczmieniowska, absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, w okresie okupacji, w Hrubieszowie, była pierwszym nauczycielem malarstwa małego Wiktora. Potem prowadziliśmy prace wydawnicze, organizację wystaw i nigdy niekończące się rozmowy. Ostatnią wczesnym rankiem: ja byłem z psem na spacerze, a Wiktor wyjeżdżał na wykłady do Rzeszowa. I już nie wrócił.

DUKT OSOBOWOSCI WYJĄTKOWYCH

Przeplatają się tu postacie szczególne, przepełnione wyjątkową osobowością i dokonaniami, również przyjaźnią, które wielu z nich mnie obdarzyło.

Przekuwali miecze na lemiesze – szlak II światowej wojny na aktywną działalność w Polsce, a nas uczyli patriotyzmu w jakże odmiennych warunkach. **Płk Alfred Jitner** – z pułku Ułanów Podolskich, walczący pod Monte Cassino, później wieloletni dyrektor w Zakładach Chemicznych Oświęcim**; mjr Jerzy Iszkowski** – pilot w 304 dywizjonie bombowym w Wielkiej Brytanii, cichociemny, odznaczony VM, represjonowany okresie powojennym, wiceprezes Aeroklubu Podhalańskiego w Nowym Sączu i częsty gość w moim liceum; **kpt. Olgierd Terlecki** trafił do 2 Korpusu z sowieckiego łagru gdzieś nad Morzem Białym – znany i ważny w swoim czasie historyk, pisarz i publicysta; **por. Jerzy Dunin-Brzeziński** – po rozformowaniu PSZ w Wielkiej Brytanii był jednym z niewielu Polaków, który zrobił wielką karierę. Artysta plastyk, członek prestiżowego Society of Indrustrial Artist i Council of National Academic Awards, profesor i dziekan Leicester Polytechnic, powrócił do kraju w 1985 roku. **Por. Ignacy Konstanty** – cichociemny z VM, prowadził lekcje z przysposobienia wojskowego, ale jego wspomnienia były dużo ważniejsze; **Jan Migdalski** – powstaniec warszawski, później wieloletni dyrektor P.P. Domu Książki w Krakowie, który w tamtych czasach musiał uporać się z nadmiarem chętnych do kupienia książki.

Polski Październik – doświadczenie pokoleniowe młodzieży urodzonej przed i w czasie wojny – pierwsza moja polityczna aktywności. W nowosądeckim poparciu dla dokonanych politycznych zmian, a rok później w Warszawie, w proteście przeciw zamknięciu *Po prostu*. Wtedy przypominała się postać wybitnego dziennikarz tego tytułu **Włodzimierza Godeka**, którego tekstami o Sądecczyźnie zaczytywałem się jeszcze w liceum. Po latach słuchałem wspomnień o Październiku od starszych, aktywnych jego uczestników: **Zenona Potoczka** – dyrektora Technikum Samochodowego w Nowym Sączu, **Bernarda (później Bolesława) Tejkowskiego** – z nadzwyczaj pokrętnymi drogami w następnym czasie; oraz ostatnio mojego rozmówcy **Adama Ogorzałka** – również dziennikarza „Gazety Krakowskiej". Pozostała na lata pamięć tamtej jesieni jako znak nadziei na kolejne przeobrażenia, do których doczekałem i miałem w nich udział.

Z różnych stron świata. **Światosław Bełza** – z rodu tych Bełzów, z których Władysław był autorem „Katechizmu polskiego dziecka". On był Rosjaninem. Połączyło nas wydanie monografii jego ojca Igora o Aleksandrze Skriabinie – największej indywidualności rosyjskiej muzyki przełomu XIX i XX wieku. Mówił świetnie po polsku, ale przede wszystkim wrażenie robił miły uśmiech połączony z uszanowaniem dla rozmówcy – dysputa z nim stanowiła intelektualną ucztę. Był badaczem literatury i muzykologiem, krytykiem i eseistą, autorem wielu artykułów poświęconych związkom polsko-rosyjskim.

Jerzy Kulczycki – emigracyjny, londyński wydawca, zasłużony dla książki, również tej, która bez cenzury trafiała do

kraju. Buszowałem wśród półek jego londyńskiej księgarni kolekcjonując szczególne wydania. Spotkaliśmy się przez przypadek, pozostaliśmy z serdeczną przyjaźnią na zawsze. Był osobą głęboko wierzącą, przy każdym pobycie w Polsce odwiedzał KUL, gdzie miał bliskich, ale zawsze spotykał się ze mną w rozlicznych sytuacjach. Również wcześniej, gdy ułatwiałem mu dostęp do Targów Książki organizowanych w Warszawie. Wiele nas niewątpliwie dzieliło, ale łączył wspólny, wielokrotnie omawiany ogląd rzeczywistych, polskich interesów.

Wołodia Nakariakow – szef oddziału APN w Krakowie, a wcześniej pilot kukuruźnika, którym lądował w czasie wojny na krakowskich Błoniach i w Czyżynach. Wołodia należał do nielicznych, oficjalnych przedstawicieli ZSRR, którzy cieszyli się rzeczywistym poważaniem, szacunkiem, również szczerą przyjaźnią. Rodziło się to z jego postawy człowieka obytego w świecie. W swojej misji dziennikarskiej zdobył poważanie środowiska krakowskich wydawców i dziennikarzy rozliczną pomocą, otwartością na nowe inicjatywy, a przede wszystkim licznymi tekstami zamieszczanymi o Polsce w radzieckiej prasie i drugimi w polskich periodykach. Nadto był autorem książek i scenariuszy filmowych. Spotykałem się z nim wielokrotnie, służbowo i prywatnie, przegadaliśmy wiele godzin.

Roberta Maxwella, brytyjskiego potentata prasowego, m. in. właściciela „Daily Mirror", poznałem wykonując powierzoną mi misję od Wojciecha Jaruzelskiego. Po kilku chwilach rozmowy zapytał, czy możemy przejść na rosyjski. Towarzysząca nam tłumaczka z Foreign Office zrozumiała aluzję i tak, w sercu Londynu, w maju 1988 roku, porozmawialiśmy sobie długo i otwarcie – jak Czech z Polakiem.

Do opozycji politycznej było mi daleko, ale przypadek sprawił, że bardzo różnych jej przedstawicieli miałem okazję poznać. Pierwszym był Stanisław Tor. Przybył z Wielkiej Brytanii, był ogrodnikiem i jednocześnie nauczycielem wyspecjalizowanym w nauce angielskiego małych dzieci, także mojej córki. Po kilku lekcjach poinformował lojalnie, że musi ich zaprzestać, gdyż jako działacz opozycji politycznej (drukarz współpracujący m. in. z KPN) naraża mnie na kłopoty. Były mi obojętne jego przekonania i poczynania, stąd lekcje trwały nadal, ale skończyły się w związku z dłuższym jego zatrzymaniem. Pożegnaliśmy się pod jego domem – córka przyniosła bukiet kwiatów, a od niego dostaliśmy doskonałe gruszki.

W „Gazecie Krakowskiej" spotykałem się i publikowałem teksty Mirosława Dzielskiego w czasie ogólnopolskiej dyskusji o reformie gospodarczej. Byłem przekonany, że jego idee i propozycje przekraczały te rządowe – przyszłość tego dowiodła. W czasie obrad Okrągłego Stołu i realizacji jego ustaleń spotykałem się z wieloma przedstawicielami strony solidarnościowej, ale szczególnie Jacek Kuroń i Krzysztof Kozłowski, z racji postaw jakie prezentowali, zasłużyli na moją dobrą pamięć. I jeszcze spotkanie z nowym prezesem TVP Andrzejem Drawiczem – rzeczowe, kompetentne, wyrażające chęć porozumienia w nowych politycznych warunkach. Rodzi się myśl, że gdyby te właśnie osoby miały decydujący wpływ na przebieg transformacji, dzisiejszy obraz Polski byłby zasadniczo odmienny.

Twórcy i kreatorzy XI muzy. Dziennikarka i prezenterka TVP, prowadząca słynne „Tele-Echo", Irena Dziedzic, przyszła do mnie, wtedy kierownika wydziału polityki informacyjnej KC PZPR, z prośbą o wsparcie starań o stanowisko, które zapewne doskonale by wykonywała. Podjąłem sporo wysiłku i nie wiem po dziś dzień, dlaczego wszyscy ważni byli przeciw. Andrzeja Wiernika – wspaniałego, wieloletniego prezentera TV Kraków – spotkałem po latach na stacji benzynowej, gdy nalewał mi paliwo, a Sławek Cieślak został, mimo sprzeciwu Kazimierza Kutza, wyrzucony ze stanowiska wicedy-

rektora OTV Kraków przez nowe polityczne władze. W powszechnej pamięci pozostał jako Borewicz z serialu „07 zgłoś się" a w mojej jako przyjaciel od lat. Losy wszystkich określał wyjątkowy profesjonalizm, który był i jest w telewizji nieodzowną koniecznością, i nadzwyczajnym przekleństwem zawiści. Podobny los podzielił Ryszard Filipski, z racji występów jego teatru „eref 66" i politycznych poglądów, oraz niezapomnianej, symbolicznej wręcz roli majora Hubala w filmie, na którą tylu było chętnych.

Miłośnikami książek byli niewątpliwie **Zbigniew Siatkowski i Bogdan Szczygieł**. Pierwszy to wybitny historyk literatury, ceniony wykładowca UJ, a jednocześnie wyjątkowy orator, niekiedy z ortodoksyjną wizją socjalizmu; drugim był lekarz niosący pomoc mieszkańcom Afryki i autor licznych, poczytnych o niej książek, później donator muzeum w rodzinnym Olkuszu z unikalnymi eksponatami z Czarnego Lądu. Ta czerń przywołała pamięć obrazów **Piotra Schneidera**, gdy wysiadując w jego pracowni w Nowej Hucie dyskutowaliśmy o współczesnym malarstwie i grafice. Wyjątkowe zainteresowanie książką i sztukami plastycznymi objawiał **Tadeusz Kaczmarek** – wiceminister kultury i wydawca, również mój Mentor nie tylko w tych dziedzinach.

Lolek – mógłby być też Jan lub Stanisław – był zbiorem wszystkich nieszczęść jakie spotkać mogą człowieka w życiu. Już od dzieciństwa miał „przechlapane", gdy po śmierci matki, poza starszą siostrą ani nikt go nie kochał, ani też nie potrzebował. Podjął studia na Wydziale Prawa UJ, które musiał przerwać. I co prawda z zawartego małżeństwa urodziły się dwie dorodne córki, ale w domu piszczała bieda. W czasie wykonywania służbowych obowiązków uległ bardzo poważnemu wypadkowi samochodowemu (nie on prowadził); cudem odratowany przeszedł na rentę. Później była jeszcze choroba nowotworowa, którą co prawda wygrał, ale niedługo potem organizm już nie wytrzymał. Był bardzo oczytanym, dobrym człowiekiem – jego zły los zapisany był chyba w gwiazdach.

WYDAWICZO-DZIENNIKARSKA DROGA

Nie sposób przywołać wszystkich, których znałem, z którymi współpracowałem i razem osiągaliśmy spore sukcesy. Na wyjątkową pamięć zasługuje **Alina Tepli** – wieloletni wiceprezes RSW. Z wielu racji, również z wcześniejszych naszych merytorycznych sporów, ale i mądrości, życzliwości i pomocy, którymi mnie obdarzała, gdy byłem jej przełożonym w tym wydawniczym koncernie.

Krajową Agencję Wydawniczą stworzył i przez lata nią kierował **Dobrosław Kobielski,** jeden z moich najlepszych przełożonych w życiu, nadto przyjaciel i druh. A spośród pracowników krakowskiego oddziału wspominam z serdecznością i smutkiem **Zosię Płaszcz** – główną księgową, **Olka Kornijasza** – kierownika artystycznego wydawnictwa, **Janusza Podleckiego** – fotografika i **Leonidasa Świejkowskiego** – redaktora technicznego, byłego płk AK, z świetną postawą i fizjonomią szlachciury, który na nasze szczęście zapodział się w XX wieku. Czterdzieści lat temu odszedłem z KAW, a mimo to od lat, w każdym czerwcu, byli pracownicy wydawnictwa spotykają się z dobrą pamięcią o miejscu, w którym praca, satysfakcja i atmosfera powodowały, że chciałoby się wrócić w tamten czas.

„Gazeta Krakowska" była najlepszym okresem w całej mojej zawodowej pracy. Napisałem o tym czasie książkę, którą Halina Kleszcz – kierownik magazynu *Sobota* i świadek tamtych wydarzeń – tak opisała: „Myślę, że o „GK" nie powstał, ani już nie ma szans powstać, zapis równie pełny i... nieprzekłamany." Coraz nas mniej z tamtej Gazety w starym, szlachetnym stylu. Odeszło jej kierownictwo: **Edward Wąsik, Wiesiek Kolarz, Wła-**

dek Penar i **Leszek Kmietowicz;** wybitni dziennikarze-publicyści: **Janusz Hańderek, Olgierd Jędrzejczyk, Wiesław Mercik, Tomek Ordyk, Brunon Rajca.** Również stale obecni na łamach**: Heniu Cyganik i Zbyszek Święch.** I wielu innych. Wspólnie tworzyliśmy tytuł, wyprzedzając niejednokrotnie ówczesną rzeczywistość.

Nie sposób nie przypomnieć **Maćka Szumowskiego,** którego dobrze znałem od czasu jego telewizyjnych, ważnych dokonań interwencyjnymi materiałami „Zza siódmej miedzy". Natomiast jako redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej" postrzegam Maćka jako postać tragiczną, uwiedzioną umowną wolnością prasy, bo ważne teksty konsultowano jednak gdzie należało. Również przekonaną, że da się porozumieć z Solidarnością, którą w Krakowie „GK" tylko tonowała; ale w skali kraju okazało się to niemożliwe. Ostatni raz widzieliśmy się w Warszawie, w kwietniu bądź maju 1990 roku, w RSW – nie powiem, aby jako członek Komisji Likwidacyjnej RSW wyrażał, w nowej politycznej sytuacji, nawet minimalną dozę satysfakcji. Uśmiechnął się kwaśno i takie to było pożegnanie.

I jeszcze kilka postaci: **Leszek Horwath** – dziennikarz radiowy i telewizyjny, który zapłacił za swoje polityczne przekonania w III RP, tak samo jak **Witek Waśniewski** – szef OTV Kraków. **Jurek Leśniak –** dziennikarz, a przede wszystkim kronikarz Sądecczyzny i autor „Nowej Encyklopedii Sądeckiej", oraz **Jerzy Urban,** o którym pozornie wszystko wiadomo, ale niewielu zdaje sobie sprawę, że był wybitnym politycznym analitykiem. Połączyła nas pałka milicyjna podczas protestów w obronie *Po prostu* jesienią 1957 roku w Warszawie, którą on dostał na Placu Narutowicza, a ja w Alejach Jerozolimskich. Po latach żartowaliśmy, że w ten sposób władza ludowa ochrzciła nas do pełnienia, po latach, różnych funkcji.

SZLAK BLISKICH Z MŁODOŚCI

Basia Pachoń, śliczna blondynka z Siemianowic Śląskich na wakacje przyjeżdżała do krewnych, do Nowego Sącza, a my miejscowi podkochiwaliśmy się w niej na umór. Jej pogrzeb był dla nas, wtedy bardzo młodych, wyjątkowo traumatycznym przeżyciem. Jeszcze najbliżsi licealni koledzy: **Józek Gomułka** – płk pilot, **Zbyszek Płoskonka** – inżynier – kierownik polskich budów zagranicą, oraz **Janusz Śmiałek –** nauczyciel akademicki, grotołaz i taternik. Z ZMS-u, w którym przez lata byłem – **Waldek Bujak** ze swoim krytycznym oglądem rzeczywistości i **Andrzej Żabiński** – prostolinijny i wręcz kultowy lider dwumilionowej, młodzieżowej organizacji, który na szczytach władzy w 1981 roku pogubił się w politycznych wydarzeniach i grach o jak najlepszą Polskę. I jeszcze **Kazik Groń**, którego niedawno pożegnałem po sześćdziesięciu latach wielkiej przyjaźni.

ALEJKA RODZINNA

W pierwszej kwaterze spoczywają najbliżsi — **Mama, Tata**, moja **Żona** — wszyscy byli pedagogami. Obok dwie kolejarskie mogiły dziadków — jedni na dalekiej wileńskiej Rossie, drudzy na cmentarzu w Nowym Sączu, bok pomnika Legionistów. Nieco dalej, na podgórskim cmentarzyku w Leńczach **ciocia Stenia i wujek Józek** — robotnicy w byłych krakowskich fabrykach Miraculum i Telpod. Jeszcze na okrutnym wschodzie kuzyn **por. Walery Szwabowicz** spoczywający w Katyniu **i wujek Piotr** z AK-owskiego, wileńskiego podziemia, który zmarł w transporcie na Syberię, a jego ciało gdzieś tam porzucono.

WSZYSCY MAMY takie własne, acz odmienne, Aleje Bliskich Nieobecnych. Łączy je ciągłość tych pokoleń, które dążyły do stworzenia Polski krajem sprawiedliwym, demokratycznym, dostatnim, normalnym i bezpiecznym. I w imię tych wartości współczesne generacje zapalały światła protestu na ulicznych zgromadzeniach. □

DANUTA STOLAREK

DEKABRYSTKI cz. I

Tak nazywano żony uczestników szlachecko-oficerskiego powstania w 1825 r., które miało miejsce 14 grudnia (po rosyjsku diekabr' – grudzień). Jego uczestnicy przeszli do historii jako dekabryści, ich żony – jako dekabrystki. Ich postacie były owiane wieloma legendami, ich biografie obrosły w liczne mity. Były bohaterkami wielu utworów poetyckich, pisał o nich Puszkin. Nikołaj Niekrasow poświęcił im wzruszający poemat „Kobiety rosyjskie" po przeczytaniu wspomnień z katorgi M. Wołkońskiej, wydanych przez jej syna. Do dziś w świadomości rosyjskiej są wzorem wierności i poświęcenia. Stały się symbolem nawet dla tych, którzy w czasach radzieckich kobiety traktowali przedmiotowo, często pogardliwie, gdy kobiety próbowały bronić mężów czy synów przed represjami w XX wieku; stąd powiedzenie „nie bądź taką dekabrystką". Pisał o nich F. Dostojewski i wielu innych wybitnych literatów, m.in. A.Dumas. Na podstawie ich pamiętników powstał serial i opera.

Legenda o ich bohaterskim wyczynie na zawsze pozostała w literaturze i pamięci Rosjan. Co prawda nie wspomina się o tym, że pomnikową postać kobiety rosyjskiej tworzą nie tylko Rosjanki z pochodzenia i kodu kulturowego. Na zbiorowym portrecie znajdują się dwie Francuzki, dwie Polki. Najbardziej znana dekabrystka Jekatierina Trubecka była na pół Francuzką z pochodzenia, a Rosjanką w pełni z wychowania i wykształcenia. Dwie według dzisiejszej nomenklatury były Ukrainkami. Jedyne co ich łączyło – były obywatelkami Imperium Rosyjskiego. Pewną ironią losu pozostaje fakt, że sto lat później pojawi się w kodeksie karnym artykuł 58 (z podpunktami): „członek rodziny zdrajcy ojczyzny", a kobiety dobrowolnie zabiegające u cara o zezwolenie na wyjazd w ślad za mężami pojadą na Syberię.

W czasach radzieckich kobiety pojadą do łagrów z wysokimi wyrokami tylko za to, że nie wyrzekły się swoich mężów. W czasach radzieckich nawet taki pomysł byłby uważany za przestępstwo. Jedyną „łaską władzy" była zgoda na rozwód z represjonowanym i zmiana nazwiska na panieńskie.

W ramach wspomnianego portretu zbiorowego nie znalazło się siedem matek i sióstr, które także dobrowolnie udały się na Syberię w ślad za swoimi bliskimi. Rzadko wspomina się o żonie powieszonego K. Rylejewa, która po egzekucji męża znalazła się wraz z dziećmi bez środków do życia i car Nikołaj przyznał jej rentę w wysokości dwóch tysięcy rubli, a także o żonie Poliwanowa (zmarł w 1826 r. podczas śledztwa), kiedy to wyrok zesłania nie został wykonany. Sto lat później nikt o takie rodziny się nie zatroszczył, nawet dzieci były piętnowane.

Najczęściej tworzy się portret zbiorowy zarówno dekabrystów jak i ich żon. Mimo pewnego podobieństwa ich losów, postaw i motywów porzucenia wygodnego życia stolicy w zamożnych dworach. Udały się one na dobrowolne wygnanie na całe życie. W dniu wyjazdu te młode, piękne kobiety były gotowe spędzić resztę życia w surowym klimacie, z bardzo ograniczonymi prawami obywatelskimi, w prymitywnych warunkach mało zagospodarowanej Syberii, w cieniu murów więziennych. Na amnestię, której się nie spodziewały, czekały długich 30 lat (do 1856 r.). Dopiero zmiana

panującego na rosyjskim tronie (na Aleksandra II, syna cara, który zgotował im taki los) przyniosła wolność im i ich małżonkom. Lecz nie wszystkie jej doczekały. Nawet po śmierci mężów na katordze czy zesłaniu te, które przeżyły, były traktowane jak buntowniczki i nie uzyskały zgody na powrót do europejskiej części Rosji, a po amnestii utrzymano zakaz ich wjazdu do miast stołecznych – Petersburga i Moskwy.

Mimo że nie wszystkie były Rosjankami i było ich zaledwie jedenaście, stworzyły symbol kobiety rosyjskiej, gotowej w imię miłości i wierności poświęcić wszystko – rodzinę, przyjaciół, cieplarniane warunki w jakich wyrosły; szczególnie te wywodzące się z bogatych, arystokratycznych rodów. Nawet jeśli nie wszyscy dziś pamiętają je z imienia i nazwiska, to stworzony przez nie wizerunek jest powszechnie znany. Niezależnie od różnic w statusie społecznym przed wyjazdem, po przybyciu na Syberię same musiały się nauczyć wielu czynności, o których wcześniej nawet nie wiedziały, bo wykonywała je liczna służba. Mimo to robiły wszystko co możliwe, by złagodzić uciążliwość katorżniczego bytu nie tylko swoim mężom, ale także ich towarzyszom niedoli, w tym także zesłanym uczestnikom powstania listopadowego 1830 r. Stworzyły zbiorowy wizerunek troskliwej opiekunki pokrzywdzonych przez reżim carski. Kim były te najbardziej znane w Rosji kobiety?

Śledztwo i proces uczestników powstania trwał ponad pół roku, (w wielu przesłuchaniach osobiście uczestniczył car Mikołaj I), kary były surowe. Przesłuchano kilkaset osób. Pięciu przywódców skazano na karę śmierci przez powieszenie i pochowano ich w anonimowej mogile na terenie twierdzy. Stu dwudziestu czterech zesłano na Syberię, z czego dziewięćdziesięciu sześciu na katorgę, a pozostałych na bezterminowe osiedlenie we wskazanych przez władzę miejscach, lub zdegradowanych do stopnia szeregowców do armii na Kaukazie. W znakomitej większości byli to ludzie szlacheckiego i arystokratycznego pochodzenia – 113. Ośmiu z nich nosiło tytuły książęce. Swoje rodowody wywodzili z najstarszych rodów arystokratycznych (Ruryka i Giedymina). Ośmiu z nich miało tytuły baronów. W ówczesnej Rosji honorowym obowiązkiem wobec ojczyzny była służba wojskowa, stu pięciu z nich było oficerami z różnymi stopniami (w tym trzech generałami i jedenastu pułkownikami), jedenastu oficerami w stanie spoczynku i tylko ośmiu było urzędnikami cywilnymi różnych resortów. W znakomitej większości byli to młodzi ludzie (najmłodszy z nich miał zaledwie 20 lat), dlatego też w chwili wybuchu powstania tylko dwudziestu trzech spośród nich zdążyło założyć rodziny; niektórzy na krótko przed grudniem 1825 r.

Uczestnicy powstania byli pozbawieni praw obywatelskich. Ich żony uzyskiwały prawo do rozwodu (jako żony przestępców stanu), dzieci urodzonych przed powstaniem nie wolno było zabrać ze sobą na zesłanie. Dzieci urodzone na zesłaniu miały status dzieci przestępców państwowych, zatem nie mogły uczyć się w szkołach pod własnym nazwiskiem (najczęściej nadawano im nazwiska utworzone od imienia ojca). Urodzone na Syberii w dokumentach miały zapisane pochodzenie chłopskie (chłopi wówczas praktycznie byli poza prawem, a zatem ich dzieci nie miały prawa do uzyskania wykształcenia).

Jeszcze w trakcie trwania śledztwa niektóre żony, spodziewając się surowych kar i zesłania, składały na ręce cara prośby o zgodę na towarzyszenie mężom na Syberię. Car niechętnie udzielał zgody. Oczekiwanie na odpowiedź trwało miesiącami.

Instrukcje carskie dotyczące zesłańców były dodatkową karą, między innymi całodobowe zakucie w łańcuchy rąk i nóg (zdejmowano je tylko podczas korzystania z łaźni), zakaz mówienia po francusku (a ten język znali lepiej niż rosyjski, niektóre ich żony w ogóle nie znały rosyjskiego), za-

kaz porozumiewania się między sobą w językach obcych. Nikt postronny nie mógł udzielać im najmniejszej pomocy; nawet podać jakichkolwiek napojów. Obowiązywał zakaz korespondencji, zakaz zabierania ze sobą pieniędzy i przedmiotów wartościowych, oraz przekazywania im czegokolwiek od krewnych. Zalecono nieustanne śledzenie skazanych, aby nie nawiązywali żadnych kontaktów z otoczeniem.

Represje dotknęły także tych wiernych żon, które postanowiły udać się w ślad za mężami. Między innymi traciły swój status społeczny i należne im tytuły, prawa majątkowe, stawały się żonami katorżników – później zesłańców – ze wszystkimi ograniczeniami stosowanymi wobec tej kategorii obywateli. Te, które dotarły już do Irkucka, były nakłaniane przez gubernatora Wschodniej Syberii do zaniechania dalszej drogi, do powrotu do Rosji Centralnej. Czyniono im wiele przeszkód, straszono trudnościami nie do pokonania. Zgoda na wyjazd za mężem na zesłanie była traktowana jako wyraz najwyższej łaski ze strony cara.

Już w październiku 1826 r. do błagodackich kopalni przybyła pierwsza partia skazanych. Natychmiast po odprawieniu pierwszej partii zesłańców na Syberię wyjechała księżna **Jekatierina Trubecka**, żona dyktatora powstania Siergieja, jedyna wtajemniczona w istotę i szczegóły spisku. Była córką Francuza hrabiego de Lavala, emigranta w okresie rewolucji francuskiej. Jej siostra była żoną ambasadora Austrii w Petersburgu. W ich domu został aresztowany Siergiej.

Trubeccy poznali się w Paryżu w 1819 r., tam też wzięli ślub w maju 1821 r., po podróży poślubnej wrócili do Rosji. Byli kochającym się małżeństwem, mąż bardzo szanował swoją żonę, cenił jej intelekt, nie miał przed nią tajemnic. Jeszcze przed powstaniem Jekatierina poznała wielu jego przyszłych uczestników i podczas zesłania starała się im pomagać, zwłaszcza tym, do których nie przyjechały żony. Podobno

Księżniczka Ekaterina Iwanowna Trubeckaja

w przeddzień powstania księżna haftowała sztandar wolności – symbol przyszłej władzy w nowej Rosji po zwycięstwie powstania. Niestety, nie przydał się. Siergieja Trubeckiego przed szubienicą uratował tytuł książęcy i koneksje w arystokratycznych kręgach stolicy.

Jeszcze trwało śledztwo, a księżna już rozpoczęła starania o zgodę na wyjazd za mężem na zesłanie. Podania nie były rozpatrywane do zakończenia śledztwa. Kiedy dowiedziała się, że pierwsza partia więźniów (w wielkiej tajemnicy) została wyprawiona na katorgę 12 lipca, ona bez rozgłosu już 23 lipca udała się w drogę. W połowie września już przybyła do Irkucka. Tam ponad pół roku czekała na zgodę gubernatora na udanie się do kopalni w Błagodacku. Gubernator otrzymał tajną instrukcję, by odradzać, przekonywać do rezygnacji z dalszej podróży, zniechęcać trudnościami i konsekwencjami podjętej decyzji, a w przypadku uporu maksymalnie utrudniać dalszą drogę. Księżna miała wówczas 25 lat (Siergiej 35).

Na Syberii w 1830 r. po dziewięciu latach małżeństwa urodziła się córka Aleksandra. Na Syberii księżna urodziła w sumie ośmioro dzieci, z których przeżyło czworo (trzy córki i syn). W 1839 r. skończył się okres katorgi S. Trubeckiego. Zostali skierowani na osiedlenie do wsi Ojek (30 wiorst od Irkucka), Wkrótce spotkało ich nowe nieszczęście, bo zmarł ich syn Nikita. Księżna dwukrotnie zwracała się z prośbą do cara o zgodę na osiedlenie w Krasnojarsku lub Tobolsku. Car odmówił.

Ze względu na stan zdrowia i konieczność kształcenia dzieci niezłomna księżna znów podjęła starania o zgodę na zamieszkanie w Irkucku. Zgodę uzyskała dopiero w 1845 r. Za pieniądze przysłane przez matkę Trubeccy zbudowali piętrowy dom, który stał się centrum życia kulturalnego dla zesłańców i swoistą placówką dobroczynną dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy. W 1846 r. po długiej chorobie zmarł hrabia de Laval (wysoki dygnitarz dworu), człowiek o wielkich zasługach dla Imperium. Podczas jego choroby w imieniu księżny jej matka zabiegała o zgodę cara na przyjazd córki, by mogła pożegnać się z ojcem. Car nie potrafił zapomnieć urazy i pozostał nieugięty na prośby.

Księżna wiele energii wkładała w pomoc innym zesłańcom, prenumerowała dla nich czasopisma, sprowadzała książki, organizowała samokształcenie, aktywnie uczestniczyła w organizacji życia kulturalnego i naukowego wśród zesłańców. Pomagała także polskim zesłańcom po upadku powstania listopadowego, rosyjskim zesłańcom politycznym np. F. Dostojewskiemu, oraz innym członkom koła „pietraszewców". Trudy życia zesłańczego pogłębiały tragiczne wieści od bliskich. W 1850 r. zmarła jej matka. Też nie mogła jej pożegnać. Surowy klimat, ciężka praca fizyczna na Syberii, do której nie była przygotowana, coraz mocniej odciskały piętno na jej zdrowiu. Cierpiała z powodu reumatyzmu, coraz częściej musiała poruszać się na wózku inwalidzkim.

Zmarła na raka żołądka (według innej wersji na gruźlicę) w 1854 r. Została pochowana w Irkucku obok swoich dzieci zmarłych na Syberii. W pogrzebie tej powszechnie szanowanej kobiety uczestniczyło całe miasto. Do końca życia zachowała wizerunek idealnej żony, gotowej dzielić z mężem wszelkie przeciwności losu. Nawet w tych katorżniczych warunkach zachowali płomienne uczucia.

Siergiej Trubecki po amnestii 1856 r. powrócił do Kijowa, gdzie zamieszkał w domu syna Iwana. Później przeniósł się do Moskwy; nie ożenił się po raz drugi. Do końca długiego życia dochował wierności pamięci ukochanej żony. Zmarł w listopadzie 1860 r. Został pochowany na cmentarzu Nowodiewiczym w Moskwie. Ich najmłodsza córka Zinaida, urodzona na Syberii, doczekała upadku Imperium Rosyjskiego. Jako córka „rewolucjonisty-demokraty" otrzymała samodzielne mieszkanie od Lenina (zamiast nory w „komunałce"), po nacjonalizacji majątków i pałaców należących do jej rodziny.

W Irkucku do księżny Trubeckiej dołączyła najmłodsza z dekabrystek – **Maria Wołkońska**, która prawie od razu otrzymała zgodę na wyjazd do kopalni, gdzie pracowali zesłańcy do Błagodacka. Była pierwszą, która zjechała do sztolni. Tam też miała miejsce wzruszająca scena, wielokrotnie

Księżniczka Maria Nikołajewna Wołkońska

opisywana w pamiętnikach i literaturze, gdy uklękła przed mężem i ucałowała najpierw jego kajdany, a później Siergieja na znak swojej wierności w każdych warunkach (według innych źródeł po prostu zemdlała na widok męża).

Maria Wołkońska w chwili wybuchu powstania miała zaledwie 20 lat, była córką księcia Nikołaja Rajewskiego, generała – bohatera wojny 1812 r. – i prawnuczką M. Łomonosowa. Pobrali się na początku stycznia 1825 r. w Kijowie. Miała zaledwie 19 lat (książę Wołkoński 37). Za mąż została wydana z woli ojca, który w bajecznie bogatym zięciu, synu członka Rady Państwa, upatrywał szansę na wielką karierę córki i możliwość uregulowania swoich ogromnych długów. Wcześniej o jej rękę starał się hrabia Gustaw Olizar, ale ze względu na polskie pochodzenie ojciec kategorycznie się temu sprzeciwił.

Znali się bardzo mało, wspólnie przeżyli zaledwie trzy miesiące. Książę Wołkoński należał do najbardziej radykalnego odłamu spiskowców, był najbliższym współpracownikiem P. Pestela. Bohater z 1812 r. podczas śledztwa okazał się najbardziej szczerym informatorem komisji. Jak z rękawa sypał nazwiskami i szczegółami spisku, czym niemiło zaskoczył nawet członków komisji. Maria była wówczas w ostatnim stadium ciąży, rodzina skrywała przed nią areszt męża. Wcześniej też widywali się rzadko. Zaraz po ślubie Maria zachorowała, wyjechała na południe Rosji na leczenie.

Mąż nie otrzymał urlopu i wrócił do swego pułku. Nie mógł jej towarzyszyć. W ostatnim okresie ciąży przywiózł ją do domu rodziców. Był zajęty sprawami politycznymi i przebywał głównie wśród spiskowców. W grudniu pojawił się na krótko w domu w celu zniszczenia dokumentów. W pierwszych dniach stycznia 1826 r. Maria urodziła syna Nikołaja, którego zostawiła pod opieką rodziny przed wyjazdem na Syberię. Dziecko zmarło w niemowlęctwie.

Maria była muzą Puszkina, którego poznała w latach 1817-1820 r. podczas jego zesłania na południe Rosji. Serdeczna przyjaźń łączyła ją z Mickiewiczem. W najpopularniejszym wówczas salonie przy ulicy Twerskiej, należącym do jej szwagierki Zinaidy Wołkońskiej, bywała cała śmietanka kulturalna i arystokratyczna ówczesnej Moskwy. Poeta W. Odojewski poświęcił jej wiersze, M. Łunin utwory prozą. Maria świetnie znała angielski i francuski, pięknie śpiewała i grała na fortepianie. Przed odjazdem przez kilka miesięcy składała wizyty pożegnalne w Kijowie, Moskwie, Petersburgu.

Wokół jej wyjazdu powstała atmosfera swoistej histerii, wszyscy podtrzymywali ją w zamyśle realizacji tego szlachetnego porywu serca, podkreślając jej wielki patriotyzm i święty obowiązek małżeński. Zinaida Wołkońska napisała ku czci jej porywu wzniosłe wiersze.

Sama Maria była osobą bardzo egzaltowaną. Słynęła z wielkiej urody i wdzięku. Rodzina męża wiedziała, że Siergiej Wołkoński wpadł w depresję. Inni katorżnicy planowali ucieczkę. Aby zapobiec nieszczęściu usilnie podtrzymywała jej gotowość do wyjazdu w nadziei, że to uratuje go przed nieprzemyślanym krokiem.

W tym salonie 25 grudnia 1826 r. odbył się pożegnalny wieczór Marii, wyjeżdżającej w aureoli zarówno męczennicy jak i heroicznej żony wiernej przysiędze małżeńskiej. Przed jej wyjazdem na Syberię po raz ostatni spotkała się z A. Puszkinem, który w przyszłości poświęci jej poemat „Połtawa". Przeciwny wyjazdowi był ojciec, mimo, że obiecywała powrót po roku. Groził wyklęciem. Jej najbliższa rodzina (matka i rodzeństwo) oskarżali ją, że spowodowała przedwczesną śmierć ojca, który zmarł w 1829 r. w wieku sześćdziesięciu lat. Nie życzyli sobie korespondencji z nią, mimo że ojciec wybaczył jej ten krok przed śmiercią, mówiąc, że była jedyną kobietą, którą zawsze podziwiał. Rzeczywistość na

Syberii była odarta z romantyzmu. Tutaj też najwyraźniej ujawniły się charaktery zarówno zesłańców jak i ich małżonek. Maria początkowo zaprzyjaźniła się z Jekatieriną Trubecką, razem zamieszkały w chłopskiej chacie, korzystała z jej pomocy, później doszło między nimi do konfliktu. Po śmierci Trubeckiej nie tylko nie przyszła na jej pogrzeb, ale nigdy nie odwiedziła jej grobu. Jak twierdzą towarzysze niedoli przyczyną był trudny charakter Wołkońskiej, surowe życie na katordze i na przymusowym osiedleniu, do którego rozpieszczona arystokratka nie była przygotowana.

Nieszczęścia, które spadły na jej wątłe barki, były ponad jej siły, tym bardziej że człowiek, dla którego porzuciła wszystko, w niczym jej nie wspierał. W 1828 r. zmarł syn Nikołaj, pozostawiony pod opieką rodziny, w 1829 zmarł ojciec, w 1830 r. córka Sofija, która przeżyła zaledwie jeden dzień. W 1832 r. urodził się syn Michał. Ta koncentracja nieszczęść połączona z obojętnością męża, z którym ze względu na dzieci zachowali poprawne, pełne szacunku stosunki, mówiąc językiem Słowackiego, „była to piękna świątynia, w której nie było Boga". Nieszczęścia nie złamały Marii, a umacniały jej niezłomny, charakter, inspirowały do większej aktywności. Dużym bodźcem była trójka dzieci, która przeżyła syberyjski koszmar.

Maria przed przyjazdem nic nie wiedziała o dziwactwach męża, który w młodości prowadził hulaszcze życie w kręgu oficerskim, straszył przechodniów tresowanym niedźwiedziem, wytresował psa, który na hasło „Bonaparte" rzucał się na człowieka, zdzierał mu czapkę z głowy. Aleksander I uważał go za człowieka niespełna rozumu. Te swawole młodzieńcze na Syberii zastąpił swoisty „mesjanizm chłopski". Podczas osiedlenia ubierał się w chłopską odzież, zapuścił brodę, bywał na targowiskach, sam uprawiał ogród, piekł chleb, zajmował się (bez wielkich sukcesów) różnymi rzemiosłami. Początkowa radość z przyjazdu żony stopniowo przechodziła w obojętność. Maria też przekonała się, że wielkie uczucie było iluzją, ale odwrotu od decyzji już nie było.

W kopalniach błagodackich na katordze więźniowie przebywali do września 1827 r. Następnie we wrześniu więźniów pod konwojem odprawiono do więzienia w Czycie. Zezwolono na zdjęcie łańcuchów, przybyłe żony odprawiono wraz z nimi, zezwolono na odwiedziny żon dwa razy w tygodniu po jednej godzinie w obecności oficera, ale na wspólne zamieszkanie w celach nie zezwolono. Kiedy skończył się okres katorgi, zezwolono żonom, dysponującym odpowiednimi środkami, na budowę domów i wspólne zamieszkanie. Nieżonaci mieszkali w koszarach. Ulica, przy której powstały domy dekabrystów, została nazwana Damską.

W 1836 r. Wołkońscy uzyskali zgodę na osiedlenie się we wsi Urik (gubernia Irkucka). Na zesłaniu Maria Wołkońska była bardzo aktywna. Czasami działała wbrew woli administracji. Kiedy zobaczyła obdartych, brudnych więźniów, za własne pieniądze kupiła płótno i zleciła uszycie dla nich bielizny. W imieniu więźniów prowadziła korespondencję z ich rodzinami omijając kategoryczny zakaz kontaktu z rodzinami, pośredniczyła w przekazywaniu im przesyłek, pieniędzy. W 1837 r. dowiedziała się o śmierci Puszkina, która sprawiła jej wielką przykrość. Wszystko, co łączyło ją z salonem szwagierki i kręgami arystokratycznymi, odeszło w przeszłość. Na Syberii bardzo bliska przyjaźń łączyła ją z innym dekabrystą – Aleksandrem Poggio, bratem innego dekabrysty, Josifa Poggio, którego poznała z mężem. Krążyły nawet plotki, że był ojcem dwójki jej dzieci, które traktował wyjątkowo serdecznie. Przypisywano jej liczne romanse z innymi dekabrystami.

Na Syberii Wołkońskim urodziło się czworo dzieci. Ostatnia córka Elena, nazywana Nelly, z którą Wołkońska spędzi-

ła ostatnie lata życia, urodziła się w 1835 r. W 1844 r. Maria Wołkońska pojechała na leczenie do Irkucka, gdzie później zamieszkała. Dołożyła wielu starań i wysiłków, aby umieścić syna Michaiła w gimnazjum w Irkucku. Jako syn przestępcy stanu miał status chłopa i nie miał prawa do otrzymania wykształcenia średniego. Prowadziła salon dla miejscowej elity, tam też bywali zesłańcy. Odbywało się w nim wiele koncertów, spektakli teatralnych, sięgano po ambitny repertuar, zesłani literaci czytali swoje utwory.

Powróciła z zesłania w 1855 r. (jej mąż rok później po amnestii, ogłoszonej na mocy Manifestu cara Aleksandra II) jako schorowana kobieta. Wyjeżdżała na leczenie z córką, niestety trudne syberyjskie lata odcisnęły swoje piętno. Spisywała wspomnienia z pobytu na Syberii, przeznaczone pierwotnie tylko dla syna Michaiła, (wydał je w 1904 r., później były wielokrotnie wznawiane), w których opisuje czasami nawet drobne fakty z tych prawie trzech dziesięcioleci. Zaskakuje fakt, że nie wspomina w nich o mężu.

Zamieszkała w guberni czernihowskiej w majątku Woronki, należącym do córki Nelly. W ostatnich dniach życia przyjechał do niej A. Poggio, aby pożegnać się na zawsze. Zmarła 10 sierpnia 1863 r. w wieku 58 lat. Została pochowana w Woronkach. Książę Siergiej mieszkał w majątku syna Michaiła pod Rewlem (obecnie Tallin). Podobno rodzina nie powiadomiła go o chorobie, po powrocie z zesłania nigdy się nie spotkali. Zmarł dwa lata później w wieku 76 lat. Zgodnie z życzeniem został pochowany w nogach grobu żony. W 1876 roku do Woronek przyjechał z Florencji A. Poggio. Mimo że miał rodzinę, chciał umrzeć w Rosji. Dzieci Wołkońskich pochowały go obok rodziców.

Aleksandra Murawiowa, z domu hrabina Czernyszowa, urodziła się w 1804 r. w niezwykle bogatej i wpływowej rodzinie. Jej przodkowie do wysokich godności

Aleksandra Murawiowa

doszli za czasów Piotra I. Słynęła z wielkiej urody i wielkiego osobistego uroku. Wyszła za mąż z wielkiej i wzajemnej miłości za Nikitę Murawiowa w 1823 r. w wieku niespełna dziewiętnastu lat. On miał wówczas 27 lat. Była jednocześnie siostrą i żoną dekabrystów. Mąż jako przestępca pierwszej kategorii został skazany „na wieczną katorgę", którą następnie skrócono do dwudziestu lat. Jego brat, zdegradowany do stopnia szeregowca, został zesłany na Kaukaz.

Męża aresztowano w jej majątku, w obecności trójki maleńkich dzieci, ciężarnej żony i chorych rodziców. Aleksandra natychmiast wróciła do Petersburga. Zniszczyła wszystkie dokumenty mogące obciążyć Nikitę. Wszelkimi sposobami poszukiwała kontaktów z aresztowanym mężem, przekupywała strażników, by przekazywać listy do twierdzy pietropawłowskiej. Przekazała także swój portret, z którym mąż nigdy się nie rozstawał. Pozostawiła trójkę maleńkich dzieci, (najstarsza córka miała zaledwie trzy lata) pod opieką krewnych i podążyła za zesłanym mężem.

Nikita Murawiow na początku grudnia 1826 r. został z grupą więźniów odprawiony na Syberię. Aleksandra już w styczniu 1827 r. wyjechała w ślad za nim. Zabrała ze sobą poetyckie przesłania A. Puszkina dla zesłańców. Jechała w wielkim pośpiechu, odległość sześciu tysięcy wiorst pokonała w niecały miesiąc. Na Syberii, podobnie jak inne żony-arystokratki, musiała nauczyć się wielu czynności, które w domu wykonywała służba (rąbanie drew, palenie w piecu, gotowanie, pranie itp.).

Kiedy zesłańców przeniesiono do Czyty, pierwsza za pieniądze przysłane przez teściową zbudowała dom na wprost więzienia, dając początek ulicy Damskiej. Do pomocy włączyła się także teściowa, która co roku przeznaczała (ogromną na owe czasy) kwotę 200 tysięcy rubli na potrzeby zesłańców. Przysyłała książki, czasopisma, prasę zagraniczną, ciepłą odzież, meble, lekarstwa, instrumenty medyczne dla opiekującego się nimi lekarza, oraz wiele rzeczy łagodzących surowe warunki życia.

W krótkim życiu los nie oszczędził jej niczego. Musiała przeżyć rozłąkę z dziećmi, z rodzicami i bratem, śmierć syna kilka miesięcy po wyjeździe, później śmierć rodziców. Zmarły jej dwie córki urodzone przed wyjazdem – jedna w dzieciństwie, druga we wczesnej młodości (przedtem postradała zmysły), zmarło też w niemowlęctwie dwoje dzieci urodzonych na zesłaniu. Ona sama zmarła w listopadzie 1832 r. w wieku zaledwie 28 lat, pozostawiając mężowi trzyletnią córkę Sonię, bardzo chorowitą i słabą.

Jej mąż w wieku 36 lat całkiem osiwiał w noc jej śmierci. Teściowie podjęli starania, by jej ciało przewieźć do Moskwy i pochować obok rodziców, a także o prawo korespondencji z młodszym synem, którego okres katorgi się zakończył. Car kategorycznie odmówił. Podobnie pozostał głuchy na prośbę o przewiezienie z Syberii chorowitej wnuczki Soni. Zdaniem cara dzieci urodzone na Syberii zaliczane były do stanu chłopskiego i uznał za niewskazane, aby dzieci chłopskie wychowywały się razem z dziećmi mającymi status szlachecki, tzn. urodzonymi przed skazaniem ojca. Zgodę na powrót wnuczki uzyskano dopiero w 1843 r., po śmierci ojca. Dzięki niebywałym staraniom dziadków udało się ją umieścić w Instytucie Smolnym pod nazwiskiem Nikitina. Nazwisko odzyskała dopiero po amnestii 1856 r.

Aleksandra Murawiowa została pochowana obok dwójki swoich dzieci zmarłych w niemowlęctwie. Według projektu poety W. Odojewskiego nad jej grobem Nikita zbudował kapliczkę z wieczną lampką, która paliła się jeszcze 37 lat po jej śmierci. Przy jej grobie często modlili się nieznajomi ludzie. Jej świetlana postać nie pozostawiała obojętnym nikogo z towarzyszy niedoli. Wspomnienia o niej znalazły swoje miejsce na stronicach niemal wszystkich pamiętników żon dekabrystów. Nikita przeżył żonę zaledwie o 11 lat, nie doczekawszy amnestii.

Jelizawieta Naryszkina była córką generała, bohatera wojny 1812 r., ministra wojny i członka Rady Państwa, nagrodzo-

Jelizawieta Naryszkina

nego tytułem hrabiowskim w 1819 r. Była frejliną carowej Marii Fiodorowny (małżonki Nikołaja I). Przyszłego męża poznała na jednym z balów na dworze carskim w 1823 r. Naryszkinowie pobrali się we wrześniu 1824 r. W 1825 r. urodziła się córka Natalia, która zmarła w wieku trzech miesięcy. Przed procesem małżeństwem byli zaledwie rok. Po ślubie mieszkali w Moskwie w domu Naryszkinów (jednego z najbogatszych i najstarszych rodów rosyjskich).

Nie była wtajemniczona w działalność męża i jego areszt był dla niej nieoczekiwanym ciosem. Michaił Naryszkin został skazany na 12 lat katorgi (wyrok złagodzono do 8 lat). Po procesie Jelizawieta okazała się nie tylko żoną, ale i siostrą dwóch dekabrystów, a także krewną innego z nich. Zgodę na wyjazd na Syberię uzyskała dzięki protekcji carowej Marii Fiodorowny.

Jako osoba bezdzietna otrzymała zgodę na zamieszkanie z mężem w więziennej celi. Od dzieciństwa chorowała na astmę i pobyt w więziennej celi, początkowo pozbawionej okien, pogarszał stan jej zdrowia. Wkrótce przeniosła się do maleńkiego domku w pobliżu więzienia. W 1830 r. Naryszkinowie wzięli na wychowanie siedmiomiesięczną dziewczynkę. W 1833 r. M. Naryszkin został przeniesiony na osiedlenie do miasteczka Kurgan w guberni tobolskiej. Uzyskali pomoc od rodziny, co znacznie poprawiło warunki życia. Ich dom stał się ośrodkiem życia kulturalnego, gdzie odbywały się wieczory literackie i muzyczne. Aktywnie zajmowali się działalnością charytatywną.

Jelizawieta znalazła swoje miejsce we wspomnieniach zesłańców. Nie błyszczała urodą jak np. Murawiowa czy Wołkońska. Jej sposób bycia zniechęcał początkowo do kontaktów. Jej wrodzoną nieśmiałość odbierano jako wyniosłość, zarozumialstwo. Przy bliższym poznaniu można było dostrzec jej niezwykłą dobroć, szlachetność. Bardzo spostrzegawcza, z ogromnym poczuciem humoru, była świetną interlokutorką. Miała piękną figurę, którą podkreślały czarne suknie. Poruszała się z wyjątkową gracją. Otrzymała bardzo staranne wykształcenie, pięknie śpiewała, grała na fortepianie, rysowała.

W 1837 r. po Syberii podróżował następca tronu Aleksander. Towarzyszył mu poeta W. Żukowski, który spotkał w Kurganie J. Naryszkiną i prosił następcę tronu o wstawiennictwo u ojca w sprawie złagodzenie ich losu. Nieugięty Mikołaj I odpowiedział w swoim stylu: „Dla tych panów droga do Rosji wiedzie przez Kaukaz".

W tym samym roku M. Naryszkin został przeniesiony w stopniu szeregowca na Kaukaz, gdzie trwały wówczas działania wojenne. Żegnało ich całe miasteczko. Żona towarzyszyła mężowi do Kazania. W drodze otrzymała wiadomość, że łaskawie otrzymała zezwolenie na spotkanie z krewnymi, których nie widziała długich dziesięć lat.

Do męża dołączyła po roku. Kupiła dom w stanicy Procznyj Okop, 65 wiorst od Stawropola, gdzie mąż jak inni dekabryści skazani na służbę wojskową zatrzymywali się, udając się na wojnę na Kaukazie. W sierpniu 1844 r. Naryszkin został zwolniony ze służby z nakazem osiedlenia w majątku żony we wsi Wysoka w guberni tulskiej. Dzięki amnestii 1856 r. Naryszkinowie mogli wyjechać za granicę w latach 1859-1860. Dłuższy czas spędzili w Paryżu. M. Naryszkin zmarł w 1863 r., Jelizawieta w 1867 r. Oboje zostali pochowani na cmentarzu Klasztoru Dońskiego.

Anna Rozen, urodzona w 1797 r., była córką dyrektora Liceum w Carskim Siole, W. Malinowskiego. W 1812 r. zmarła jej matka, dwa lata później ojciec, wychowywała się u krewnych matki. Otrzymała znakomite wykształcenie domowe, świetnie znała języki francuski i angielski. Z przyszłym mężem, baronem Andriejem von Rozenem, poznał ją brat, również oficer. Pobrali się w kwietniu 1825 r. Byli bar-

Anna Rozen

dzo szczęśliwym, kochającym się małżeństwem. Mieli podobne poglądy, wspólne zainteresowania.

Mimo że Andriej nie uczestniczył w samym powstaniu, ani nie należał do spisku, był na spotkaniu z jego organizatorami w przededniu wydarzeń na Placu Senackim. Uprzedził żonę o mającym nastąpić buncie i o ewentualnym aresztowaniu. Tydzień później, uwięziony w twierdzy Pietropawłowskiej, został skazany na 10 lat katorgi (później wyrok złagodzono do 6 lat), konfiskatę majątku i utratę praw cywilnych.

Zakochana Anna nie wpadła w panikę. Z sześciotygodniowym synem Jewgienijem (urodził się w kwietniu 1826 r), przyszła pożegnać męża przed wysłaniem na katorgę. O tym, żeby pozostała w Petersburgu, dopóki syn nie zacznie chodzić i mówić, przekonał ją Andriej. Zgodę cara na wyjazd otrzymała w sierpniu 1829 r. Mimo starań nie uzyskała zgody na zabranie ze sobą syna. Pozostawiła go pod opieką siostry Marii Malinowskiej (późniejszej żony dekabrysty Walchowskiego).

Los oszczędził jej widoku męża w kajdanach w kopalniach w Błagodacku, zabronionych rozmów przez szczeliny ogrodzenia, czy też w celi w obecności oficera, oraz uczenia się trudnych dla jej sfery czynności codziennego bytu. Na zesłaniu były już przybyłe wcześniej kobiety, które otoczyły ją serdeczną troską i udzielały pomocy w zagospodarowaniu się w surowych realiach zesłańczej doli. Andriej wówczas był już przeniesiony do pracy w Zakładach Pietrowskich, gdzie warunki były znacznie znośniejsze, nieco lżejsza praca i złagodzony nadzór. Tam w 1831 r. urodził się im drugi syn Kondratij (nazwany na cześć jednego z powieszonych przywódców powstania Kondratija Rylejewa).

W 1832 roku wraz z innymi katorżnikami zostali skierowani do Kurgani. Najpierw wynajmowali lokum, później kupili dom z dużym parkiem za pieniądze przysłane przez wuja. Spędzili tam pięć lat. W 1834 r. urodził się syn Władimir, w 1836 r. córka Anna, a w 1839 r. córka Sofia (zmarła w niemowlęctwie). Andriej Rozen zajmował się uprawą ziemi, zaczął pisać wspomnienia „Notatki dekabrysty", uznane później za najbardziej wiarygodne i pełne materiały o historii dekabryzmu. Anna wychowywała dzieci, zajmowała się leczeniem, założyła aptekę domową.

W 1837 r. Andrieja wraz z innymi dekabrystami wysłano w stopniu szeregowców do armii czynnej na Kaukazie, gdzie znów w ślad za mężem udała się Anna z dziećmi. Tutaj po wielu latach rozłąki spotykała się z pierworodnym synem. W 1839 r. ze względu na stan zdrowia Andriej został zdemobilizowany i rodzina uzyskała zgodę na zamieszkanie w majątku jego brata nad Narwą. Tam mieszkali aż do amnestii. Po amnestii w 1856 r. rodzina osiedliła się na Ukrainie w guberni charkowskiej. Dzieciom przywrócono nazwisko i tytuł ojca. Andriej zajmował się działalnością społeczną. Przeżyli wspólnie prawie sześćdziesiąt lat. Do końca za-

chowali łączące ich uczucie. Anna zmarła w grudniu 1883 r., a jej mąż cztery miesiące później.

Paulina Geuble była francuską arystokratką urodzoną w 1800 r. w zamku Champigny, niedaleko Nancy w Lotaryngii. Jej ojciec został aresztowany przez jakobinów w 1802 roku, później został generałem armii napoleońskiej, odznaczonym orderem Legii Honorowej. Zginął w Hiszpanii w 1809 r. Rodzina żyła z przyznanej wysokiej renty. Po upadku Napoleona rentę cofnięto, rodzina została pozbawiona środków do życia. Paulina pod zmienionym nazwiskiem podejmuje pracę w znanym paryskim domu mody (jako arystokratka z pochodzenia nie mogła pracować zarobkowo pod własnym; podobnie było w Rosji).

W 1823 r. przybyła do filii domu mody w Moskwie, by pracować jako modystka na utrzymanie rodziny we Francji. W popularnym domu mody Dumance na Moście Kuźnieckim dość często bywała jedna z najbogatszych kobiet w Moskwie

Paulina Geuble

Annienkowa, której w zakupach towarzyszył syn Iwan, bardzo przystojny oficer gwardii, jedyny spadkobierca ogromnej fortuny. Między młodymi ludźmi zaiskrzyły gorące uczucia. Skutkiem ich romansu była córka Aleksandra, urodzona w kwietniu 1826 r.

Iwan proponował Paulinie tajne małżeństwo, na które nie wyraziła zgody mając świadomość, że matka go wydziedziczy. Jako członek Towarzystwa Północnego został aresztowany zaledwie tydzień po powstaniu. Najpierw osadzono go w twierdzy w Wyborgu, później w Pietropawłowskiej. Paulina z Moskwy śledziła informacje napływające z Petersburga. Po przyjeździe do stolicy przy pomocy łapówek zdołała wywalczyć przekazanie listu i spotkanie z ukochanym. W Moskwie przekonuje matkę Annienkowa, by wykorzystała swoje koneksje i pomogła synowi. Został skazany na 20 lat katorgi (skróconej później do lat 15). W twierdzy próbował popełnić samobójstwo. Życie uratowały mu miłosne listy od Pauliny. Na Syberię został wywieziony 10 grudnia 1826 r.

Kiedy dowiedziała się, że Nikołaj I będzie na manewrach koło Wiaźmy w maju 1827 r., udało się jej dostać przed oblicze cara, padła na kolana i błagała o zgodę na wyjazd za ukochanym. Cara wzruszyła siłą uczuć cudzoziemki, nie znającej ani języka, ani kraju, w którym sama znalazła się na dobrowolnym wygnaniu. Kiedy próba przekonania jej o odstąpieniu od zamiaru nie powiodła się, car nie tylko wyraził zgodę, ale zadysponował, by wypłacić jej z kasy państwowej 3 tysiące rubli na koszty podróży i zwrócić jej skonfiskowane 60 tysięcy rubli (kwota bardzo duża jak na owe czasy), które znaleziono w chwili aresztowania Iwana Annienkowa. Na zabranie córki nie wyraził zgody.

W dniu ogłoszenia wyroku znikły przeszkody formalne. Małżeństwo z Iwanem pozbawionym praw cywilnych, tytu-

łu szlacheckiego, ze statusem katorżnika w kręgach towarzyskich nie było traktowane jak mezalians. Córkę zostawiła pod opieką babki – matki Iwana Annienkowa. Drogę z Moskwy do Irkucka pokonała zaledwie w 18 dni, czyli o wiele szybciej niż podróżowali wówczas kurierzy. Bardzo chciała zdążyć na urodziny ukochanego. W Irkucku podobnie jak Trubecka i Wołkońska była przekonywana do zawrócenia z drogi. Bezskutecznie. Zrobiła zapasy żywności i wina, oraz innych rzeczy niezbędnych do życia w nowych warunkach, i ruszyła w dalszą drogę. Jej przyjazd był zbawienny dla kompletnie załamanego Iwana.

Zgodę na ich ślub wydał gubernator Wschodniej Syberii (za przyzwoleniem z Petersburga) i 4 kwietnia 1828 r. w drewnianej cerkwi w Czycie Paulina Geuble została Praskowią Jegorowną. Iwanowi i drużbom zdjęto kajdany w kruchcie tylko na czas ceremonii zaślubin. Zaczęła się proza życia żony katorżnika. Mimo częstych porodów nie zaprzestała swojej aktywności. Była pogodna, z poczuciem humoru, stała się wkrótce duszą towarzystwa, potrafiła zarażać innych swoim optymizmem.

Paulina była osobą niezwykle pracowitą i praktyczną. Z Moskwy przywiozła nasiona warzyw, sama kopała zmarzłą ziemię, by wiosną założyć warzywnik. Dzięki niej wielu zesłańców uniknęło szkorbutu. Uczyła inne towarzyszki niedoli prostych czynności, niezbędnych w tych warunkach, jak gotowanie, szycie, cerowanie. Pomagała w znalezieniu odpowiedniej służby spośród miejscowej ludności. Mimo że nadal nie mówiła po rosyjsku – potrafiła łatwo nawiązywać kontakty. Na przykład przekupiła kowala, by wykuł dużo lżejsze kajdany dla katorżników, które w tajemnicy (dzięki łapówce) zamieniono. Do przekazywania korespondencji więźniom włączyła nawet żonę naczelnika twierdzy.

W maju 1829 r. urodziła się córka Anna (imię otrzymała ku czci matki Aniennkowa), rok później córka Olga. Później, niemal rok po roku urodzili się synowie Władimir, Iwan, Nikołaj. W tym małżeństwie urodziło się osiemnaścioro dzieci. Przeżyło tylko sześcioro. Po odbyciu katorgi wszędzie podążała za mężem na kolejne miejsca zesłania.

W 1839 r. Iwan Annienkow uzyskał zgodę na podjęcie pracy w administracji państwowej. W 1841 r. zostali przeniesieni do Tobolska, gdzie Iwan pracował w administracji gubernatora. W Tobolsku mieszkali aż do amnestii 1856 r.

W 1850 r. przez Tobolsk etapem prowadzono do więzienia w Omsku F. Dostojewskiego i członków „kółka Pietraszewców". Rodzina Annienkowów zaopatrzyła ich w ciepłą odzież, pieniądze. Po odbyciu kary Dostojewski mieszkał przez miesiąc w domu ich córki Olgi, która wówczas mieszkała w Omsku. W listach Dostojewskiego zachowały się słowa pełne szacunku i wielkiej sympatii dla tej rodziny.

Nie uzyskali zgody na powrót do Moskwy. Zamieszkali w Niżnym Nowgorodzie, gdzie spędzili ostatnie 20 lat szczęśliwego życia. Tam odwiedził ich A. Dumas. Iwan Annienkow odzyskał prawa obywatelskie, pełnił wiele funkcji społecznych. Paulina została kuratorką Żeńskiej Szkoły Maryjskiej w Niżnym Nowgorodzie. Zmarła w 1876 roku.

Paulina, która nigdy nie nauczyła się pisać po rosyjsku, podyktowała po francusku swoje wspomnienia córce Oldze, która przetłumaczyła je na język rosyjski i wydała w 1888 r. Historia ich miłości była kanwą powieści A. Dumas'a *Memoires d'un maitre d'armes*, (przetłumaczonej na język rosyjski jako *Nauczyciel fechtunku.* Kompozytor J. Szaporin napisał operę „Dekabryści", która w pierwszej redakcji miała tytuł *Paulina Geuble*. c.d.n.

Jacek Malczewski, Wigilia na Syberii

Jacek Malczewski, Sybiracy (1891)

WANDALIA

PRZEDMOWA REDAKCJI

Prezentujemy Czytelnikom najciekawsze – z naszego punktu widzenia – urywki z kroniki lubeckiego uczonego i dyplomaty Alberta Krantza.

Ten bardzo wykształcony jak na swoje czasy – czyli wiek XV – niemiecki duchowny (*magister artium*, doktor teologii oraz prawa kanonicznego), nieprzejednany bojownik sprawy powiększania zasięgu kościoła katolickiego (co nazywa podbojem dla wiary Chrystusowej), nie szczędzi ciepłych słów słowiańskim pobratymcom Niemców, a w szczególności Polakom. Niemiec z krwi i kości, rzecznik hanzeatyckiego klubu, a zarazem jedności kościoła chrześcijańskiego (najlepiej pod egidą papieży) szeroko zakroił swoją kronikę rodów panujących, stosunków politycznych (tj. wojen, grabieży na lądzie i piractwa morskiego) oraz relacji handlowych, wymagających bezpiecznych dróg lądowych i morskich.

Objął bowiem i zawarł w dziele liczącym blisko pięćset stron druku drobną czcionką (po rozwinięciu skrótów byłoby tego w oryginale dużo więcej) okres od pojawienia się Wandalów w Europie po czasy temu autorowi współczesne, czyli po drugą dekadę XVI wieku. Do Wandalów zalicza zaś ludy zasiedlające – częściowo mobilne – bardzo rozległy obszar, bo od Donu na Wschodzie po Ren na Zachodzie, a nawet po Burgundię, oraz od Morza Bałtyckiego po Bałkany.

Słowian Zachodnich, należących do rodziny wandalskiej, a więc przede wszystkim – jak wspomniano – Polaków czy Łużyczan – szanuje i ceni; nie lubi natomiast Czechów, których zowie za Tacytem Bohemami. Zarzuca im (wręcz wyśmiewa) zarozumialstwo, ponieważ pysznią się swoją starożytnością (od Wieży Babel – „czemu nie dotarli aż do arki Noego i do samego łona pierwszej rodzicielki oraz rajskich roz-

koszy?"). Przede wszystkim jednak wini ich, wręcz nienawidzi, za pokaleczenie jego kościoła macierzystego, czyli katolickiego, buntem husyckim; kładącym się bardzo złym cieniem na wiarygodności oraz skuteczności ewangelicznego przesłania.

Konsekwentnie nie szczędzi też gorzkich słów rodzimej formacji Braci Niemieckich – *Fratres Teutonici* – czyli Krzyżaków. Ich grabieżcze, wręcz eksterminacyjne metody nawracania „pogan" na „wiarę Chrystusową" – rzecz zwykła w ówczesnym świecie (podobnie postępowali zresztą i mahometanie) – nie licują jego zdaniem z „przykazaniem miłości bliźniego". Książę (na krótko król) Łokietek robił podobnie, rewanżując się im sowicie. Albert Krantz ubolewa nad tym, jak obchodzą się chrześcijanie z chrześcijanami. Tyle że Łokietek – dodajmy – nie był „zawodowym" zakonnikiem, jak Wielki Mistrz Zakonu Braci Niemieckich.

Nawiasem: plam na szlachetnym obliczu ówczesnych misji „ewangelizacyjnych" dostarczali niemało także i inni Rycerze Krzyżowi, ci z Zachodu i Południa Europy, wzywani i zachęcani przez papieży „odpustami

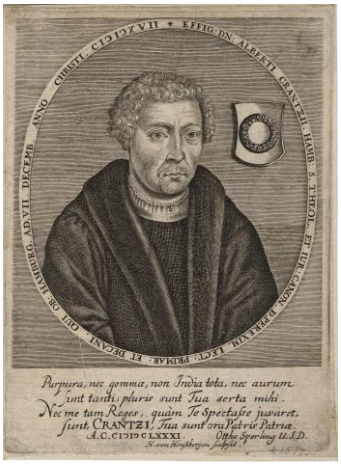

Albert Krantz

zupełnymi" do wypraw przeciwko niewiernym „poganom" w Prusach i mahometanom w Południowej i Wschodniej Europie, aż po rdzennie tureckie terytoria; kiedy to udane grabieże przeplatały się z totalnymi klęskami; by wspomnieć choćby tylko o niesławnej i wręcz tragicznej „krucjacie dziecięcej". O tych „misjach" również co nieco pisze nasz Autor. Opowiada między innymi o tragicznej śmierci Władysława Warneńczyka.

W wyborze natomiast miana dla tej wielkiej grupy plemion, zasiedlającej ten ogromny jak na Europę obszar, o którym wspomniano wyżej, Autor *Wandalii* – jak podaje w swoim *Wstępie*, który przytoczymy poniżej – kierował się autorytetami takimi jak Tacyt i Pliniusz, którzy to – jakoby – zaczerpnęli nazwę „Wandalowie" (*Vandali*) od babilońskiego autora Berossosa.

Jak z tego widać, zachodzi niejaka rozbieżność pomiędzy rozumieniem powyższego określenia u naszego Autora (piszącego na przełomie XV i XVI wieku), konsekwentnie obstającego przy nim na blisko 500 stronach swego dzieła *Wandalia*, a ujęciem Wikipedii, podającej, że Wandalowie to „grupa plemion wschodniogermańskich, zamieszkująca przed wielką wędrówką ludów Europę Środkową".

Podobnie z rozumieniem Alberta Krantza, uważającego się za niemieckiego obywatela rodziny germańskiej Wandalów (najczęściej używa tu miana odimiennego *Teutonicus* lub zwrotu *cives Germaniae*, czyli Teutończyk lub mieszkaniec Germanii) nie zgadza się Encyklopedia PWN, która podaje, że Wandalowie „w I–IV w. zajmowali tereny nad górną Odrą i Dunajem; w V w. pod naporem Gotów wyruszyli na zachód, wtargnęli na Półwysep Iberyjski i osiedli w południowej Hiszpanii (zw. później Andaluzją); w r. 429 pod wodzą Genzeryka podbili północną Afrykę i założyli państwo; stamtąd opanowali Korsykę, Sardynię, Baleary i część Sycylii; w 455 r. zdobyli i złupili Rzym (stąd określenie wandalizm), rozbili flotę rzymską; w latach 533–534 państwo Wandalów zniszczył wódz bizantyński Belizariusz".

W kwestii zaś samych początków Wandalii, widzianych oczami Krantza, oddajmy na moment głos samemu Autorowi, który – wyśmiewając się dopiero co z Czechów, którzy sięgają ze swoimi korzeniami do robotników pracujących przy wieży Babel – również śmiało sobie poczyna jeśli chodzi o własną niemiecką „rodzinę", z której właśnie Czechów wyłączył (na chwilę). A nawet śmielej, bo cofa się w tym ostatnim przypadku do potomków Noego. Ale nie do tych przedpotopowych, których nazywa się zwykle – od imion starszych synów Noego – Chamitami, Semitami i Jafetytami, lecz do po potopowych jego potomków: „Po kataklizmie zaś zrodził /Noe/ wielu synów, wśród których jest pierworodny Tuiskon, ojciec wszystkich Germanów mieszkających od Donu do Renu. To się bowiem nazywa wielka Germania."

A zatem Wandalia i Wielka Germania są według niego tym samym!

Ówże Tuiskon z kolei miał – wedle Krantza, idącego za Berossosem – następujących synów: Mannusa, Ingewona, Istewona, Hermiona, Marsa, Gambriwiusa, Swewa (*Suevus* – stąd *Schwaben*), Wandala (u Autora *Wandalus*), Huna (*Hunus*), Herkulesa i Teutanesa (stąd *Teutoni* lub *Teutones*, wymieniani między innymi przez Tacyta). Nasz kronikarz zaraz potem powiada, że są to Wandalowie, którymi się będzie zajmował; tak jak i Rusini (*Russi*), Polacy (*Poloni*), Czesi (*Bohoemi*), Dalmaci (*Dalmatae*) i Chorwaci (*Croaci* – tak zapisano!) – jeden i ten sam lud (*una gens*).

Niemniej ciekawe jest to, że Krantz zalicza Hunów do grona potomków Tuiskona, a więc za wchodzących w skład Germanii (*intra Germaniam numerabuntur*). A zatem „powinni się rumienić ci, co ich uważają za Azjatów". Najciekawsze jednak w tym kontekście jest to, że Germania jest u niego właściwie – jak powiedzieliśmy powyżej – synonimem Wandalii, w której skład wchodzi Teutonia; jako że Autor kroniki Wandalów ponownie używa frazy „od Donu po Ren", ponieważ „Germania obejmuje całą tę najobszerniejszą dziedzinę".

Inną ciekawostką może być pogląd Krantza, że właściwie na całym wymienionym obszarze używa się tego samego języka. Autor zaznacza wprawdzie przy tym, wykazując się kompetencją językoznawczą, iż panuje tu „pewna różnorodność" w tym względzie, która „z biegiem czasu i odległością regionów od siebie się zdarza". Jako przykład podaje zróżnicowanie form wyrazów w Italii oraz Teutonii w ramach jednego języka, podczas gdy „same nazwy rzeczy są wszędzie te same". Nawiasem mówiąc, znany jest przekaz, że Otton z Chrobrym obywali się bez tłumacza w rozmowie. Mało też prawdopodobne, żeby Chrobry swobodnie mówił po łacinie.

Nie omieszka też Autor służyć czytelnikowi opowieściami o zwyczajach i religiach ludów tam istniejących i broniących się przed dobrocią chrześcijaństwa. Oczywiście – jako duchowny katolicki – przedstawia „pogańskie" obyczaje, a w szczególności religie, jako wraże, okrutne i totalnie fałszywe. Nie jesteśmy zaś w stanie (przeważnie) stwierdzić na pewno, czy jest w tych przypadkach wiarygodny co do realiów. Jest bez wątpienia stronniczy i surowy w ocenach zachowań; co jest zapewne związane z jego zapałem misyjnym jako rzecznika sprawy poszerzania „dziedziny" chrześcijaństwa, a zatem i wpływów oraz dochodów jego kasty, czyli kleru, a tym i jego samego.

Lecz, z drugiej strony, on miał do tych potencjalnych poddanych książąt i królów chrześcijańskich, a co za tym idzie również poddanych Kościoła, uposażanego przez władców – bliżej, niż my dzisiaj. A wiadomo też, iż wszyscy kronikarze kolorowali (i ubarwiają po dziś dzień). Także ci, którzy się mienią historykami. Nierzadko uważając wręcz, że poddani mieli się w tej chrześcijańskiej rodzinie całkiem dobrze, mając zapewniony byt i bezpieczeństwo. Krantz jednak niekiedy zdradza, jak zobaczymy, także niechlubne cechy owej wielkiej misji chrystianizacyjnej, które niezupełnie mu się podobają, takie np. jak obarczanie „nowo nawróconych" ciężarami ponad ich siły, czy niszczenie ich świętych gajów, chramów, oraz figur bóstw.

By się temu przyjrzeć z bliska, jak to było z owym „dobrodziejstwem inwentarza", wystarczy poczytać również i to źródło wiedzy, jakim jest *Wandalia* Alberta Krantza. Bowiem przy całej jego wspomnianej wyżej stronniczości dostarcza ono – na kilku setkach stron drobnego druku, jak wspomniano – wielu pewnych informacji. Pozwalają one na stwierdzenie, że wszyscy niemal ze wszystkimi się bili zaciekle i krwawo; z przerwami jedynie na regenerację sił. W ten sposób słabsi ustępowali silniejszym, a po wielu unicestwionych ze szczętem plemionach pozostały jedynie ich nazwy.

Autor dowodzi zarazem, jak wielka była zdolność reprodukcyjna owych wandalskich plemion, które przetrwały. Już Tacyt pisał o takim trybie życia plemion germańskich, że połowa szczepu wyrusza w danym roku na wojnę (czytaj: na rabunek), a druga połowa odtwarza jego zdolność bojową; i tak na zmianę. Uprawą ziemi prawie nikt się nie zajmuje; za to hodowla bydła jest ważnym zadaniem, ponieważ bydło /*iumenta*/ jest pędzone z wojskiem jako jego żywnościowe zaplecze.

Krantz też to potwierdza wielokrotnie, iż wyruszano na wojnę z bydłem, a w razie odniesienia zwycięstwa – pokonanemu wrogowi jego bydło zabierano. Pojmanych jeńców zaś traktowano jak niewolników i nierzadko sprzedawano ich na odpowiednich targach.

Na koniec tego wprowadzenia trzeba wspomnieć i o pewnej ambiwalencji sądów Autora *Wandalii*. Otóż, jak zaznaczyliśmy na początku tego wstępu, Krantz nie szczędzi wyrazów sympatii do dzielnych i urodziwych Słowian, a w szczególności Polaków, z którymi odczuwa nawet coś w rodzaju solidarności; jako że nie tylko przyjęli chrześcijaństwo, lecz aktywnie uczestniczą w jego krzewieniu. Niektórzy Słowianie wyłamywali się wprawdzie z tej wspólnoty, lecz na ogół tylko na jakiś czas, ponieważ rychło „przywracano ich do porząd-

ku". Gorzej – według Autora – porobiło się, i to za jego czasów, z „wiarołomnymi Czechami".

W swoim czasie wspomni też, z jak wielką atencją odnosił się do Księcia Chrobrego Cesarz Otton, władca Świętego Imperium Rzymskiego Narodu Niemieckiego, który osobiście pofatygował się do Gniezna, by go ukoronować.

Z drugiej strony pisze też i o nędzy poszczególnych ludów słowiańskich. Jak na przykład tych szczepów, które – odrzucone od Morza Bałtyckiego i bardzo przerzedzone – doszły do „ostatniego niewolnictwa i wzgardy u wszystkich".

Uwagi tłumacza.

Podstawą niniejszego przekładu jest tekst oryginału opublikowany w Sieci przez Poznańską Bibliotekę Cyfrową.

Zachowując zasadniczo układ i styl oryginału „dorabiam" dla jasności wiele akapitów.

W nawiasach ukośnikowych podaję warianty tłumaczenia lub uzupełnienia niezbędne dla zrozumienia.

WSTĘP
ALBERTA KRANTZA, DOKTORA PRAWA KANONICZNEGO I ŚWIĘTEJ TEOLOGII, PRZESŁAWNEGO MĘŻA WANDALIA /OPIS SPRAW DOTYCZĄCYCH WANDALÓW/ HISTORIA ZEBRANA Z LICZNYCH AUTORÓW I BARDZO WIELU ANNAŁÓW SZCZĘŚLIWIE SIĘ ZACZYNA. WSTĘP /PROOEMIUM/.

Uważam, że opisanie ludu Wandalów od najdawniejszego początku, a obecnie najbardziej rozpowszechnionego po całej Europie, od samej kołyski, jest rzeczą niezwykle trudną i prawie niemożliwą; ponieważ w tym szczepie długo nie istniało żadne pismo, w którym by zachowywano pamięć starożytności; i po raz pierwszy mu zostało ono przyniesione z chrześcijaństwem, tak jak w wielu innych przypadkach. Dlatego uznałem także za zgoła niemożliwe do wykonania wyprowadzenie chronologii, toku dziejów całego tego szczepu, aż do naszych czasów. Jakież bowiem kroniki, jakie kodeksy wskazujące na najstarszą historię, u nich występują? Z pewnością żadne.

/na prawym marginesie w skrócie: Wandalowie niegdyś nie mieli żadnego pisma/

I co podnosi trudność: ten lud Wandalów, zajmujący ze względu na swoją wielkość liczne regiony i niekiedy je zmieniający, zwielokrotnił swoje nazwy i niekiedy się tak zróżnicował; że nie pomyślałbyś, iż to ten sam szczep /na marginesie: Wandalowie zmienili nazwy/, który znajdujesz odnotowany pod różnymi określeniami, zamieszkujący w różnych i dalece odległych prowincjach; a jednak żyje o jednakowych wszędzie obyczajach i tych samych prawach, o jednym wreszcie języku.

Bohemowie mianowicie /dzisiaj Czesi – przyp. tłumacza/, znaczna część tego ludu, /na marginesie: Bohemowie/ przedstawiają pewne pamiątki swojej starożytności. Pokazał je jasno Eneasz Sylwiusz, wówczas Kardynał Seneński, a następnie Papież Pius II, na kilka dni przed pontyfikatem, gdy odpoczywając przebywał w łaźniach Puteolańskich. Ale w tych właśnie pismach -dowodach od niego zasłużyli oni zgoła na pośmiewisko wspomnieniem o swej starożytności, ponieważ pociągnęli ją – tę swoją starożytność – aż do wieży Babilonu i pomieszania języków. Dlaczego zaś nie dotarli aż do arki Noego i do samego łona pierwszej rodzicielki oraz rajskich rozkoszy?

Próżne rzecz jasna przechwałki oraz zasługi wyśmianiem skarcone; nie wspominają bowiem żadnych pośrednich czasów od wielu tysięcy lat, żadnych książąt, żadnych wydarzeń przez wiele wieków; chociaż /na marginesie: Wyśmianie Bohemów/ już nawet i samo to, co Czesi podali o swoim przyjściu do tego regionu jest próżne, liche i łatwe do obalenia za pomocą licznych świadectw.

Uważamy, co poświadcza Blondus, że czasy, w których Wandalowie (których ów jak inni pozostali nazywa Słowianami) przeszli z własnych siedzib w Dalmacji, Istrii i Ilirii, pod wodzą Maurycego Konstantynopolitańskiego, a nie przybyli – jak owi plotą – z Dalmacji do Czech, pod wodzą Zethona. Albowiem Ptolomeusz Kosmograf, który pisał za czasów Cesarza Hadriana, wspomina, że wielki szczep Bohemów przebywał w Lesie Hercyńskim jeszcze na długo przed czasem przez nich podanym. Tacyt zaś nazywa ich Bojemami Markomanami /*Boioemi Marcomanni*/; co w swoim miejscu zostanie wspomniane, gdy dojdziemy do czasów Marka Antoniusza.

Nie oskarżałbym jednak Eneasza Sylwiusza za tę jego opowieść. On tylko baśni przekazanej mu przez szczep nadał formę łacińską, nakazując, ażeby przekazujący ją dalej ją uwiarygodnili.

Słowianami /*Sclavos*/ zaś nazywa się tych, których dawni zwali Wandalami. Bowiem i ci /k. 0008/ sami Bohemowie twierdzą w swoich starożytnościach, że byli przy budowie wieży Babel /*Babylonis*/, kiedy zostały pomieszane języki, i wówczas byli nazywani Sklawonami /*Sclauoni*/, to jest wielomównymi.

Lecz odrzucając ze słusznych powodów te bajania z Eneaszem zbieramy starożytność całego ludu Wandalów od najdawniejszych dziejów. Albowiem Korneliusz Tacyt na początku swojej *Germanii* rzecze: Germanowie czczą starodawnymi pieśniami (co u nich jest tym samym rodzajem pamięci co kroniki) boga Tuiskona /*Tuisco*/ wydanego przez ziemię, i jego syna Mannusa, jako protoplastów rodu. Mannusowi przypisują trzech synów, od których imion mają się nazywać najbliżsi oceanowi Ingewoni /*Ingeuones*/, w środku Hermionowie, pozostali to Istewonowie /*Isteuoni*/. Ze względu zaś na dawność powstało z nich wiele odgałęzień i są wymieniane liczne nazwy szczepu: Marsowie, Gambriwiowie, Swewowie, Wandalowie.

I te prawdziwe i starożytne nazwy podaje również Gajusz Pliniusz w *Historii naturalnej* dla tych samych prawie czasów, w których Tacyt piszący za czasów panowania cesarza Trajana. Jest – rzecze – pięć szczepów germańskich: Wandalowie, których część stanowią Burgundowie, Warnowie /*Varrini*/, Karnowie /*Carini*/, Gutoni /*Guttones*/. Drugi szczep, to Ingewoni, których część stanowią Cymbrowie, Teutoni z gałęzi rodu Kauków /*Cauci*/. Najbliżej zaś Renu byli Istewonowie, których część stanowią Cymbrowie śródziemnomorscy. Hermionowie, do których należą Swewowie, Hermundurowie /*Hermanduri*/, Chattowie /*Catti*/, Cheruskowie /*Cherusci*/. Piątą część stanowią Peucynowie /*Peucini*/, Basternowie /*Basternae*/, graniczący z Dakami.

Za ich świadectwem, najpewniejszym wśród wszystkich autorów, dowiadujemy się, że najstarszymi pośród ludu germańskiego są Wandalowie, podczas gdy nie ma żadnej pamięci o Słowianach /*Sclavi*/. Z tego powodu będziemy używać w całym dziele pełnoprawnie miana podanego przez najstarszego i najbardziej uznanego pośród autorów. Bowiem i Tacyt i Pliniusz zaczerpnęli to współbrzmiące określenie ludu z tego samego, jak sądzę, źródła: Babilończyka Berossusa /*Berossos*/, który to kapłan ze szczepu chaldejskiego w służbie publicznej odnowił stare roczniki i kontynuował je w swoich czasach.

Napisał on to zaś w czasach Aleksandra Wielkiego. A jego wiarygodną historię wraz z wykładem doprowadził do nas w naszym czasie niejaki Witerbski /*Viterbiensis*/, najstaranniejszy badacz starożytności. Ten zatem Berossus podaje, że Noe /*Noam*/, ojciec nowego pokolenia, już przed potopem zrodził Chama /*Chamesus*/, Sama /*Samesus*/ i Japeta /*Iapetus*/. Po kataklizmie zaś zrodził wielu synów, wśród których jest pierworodny Tuiskon, ojciec wszystkich Germanów mieszkających od Donu do Renu. To się bowiem nazywa wielką Germanią.

Synami Tuiskona byli Mannus, Ingewon, Istewon, Hermion, Marsus, Gambriwius, Swewus, Wandalus, Hunus, Herkules, Teutanes. To jest pierwsza linia pocho-

dzenia z ojca Tuiskona, z dziadka Noego. Owa pamięć zaś o Mannusie przetrwała w całym szczepie, tak że dzisiaj nazywają Manem męża dzielnego i roztropnego. Ingewon, Istewon, Hermion – według Tacyta, jak powiedzieliśmy – mają swoje regiony.

Marsowie ustąpili do Łaby /*Albis*/; ich skąpe resztki przebywają na moczarach niedaleko od ujścia rzeki; Dytmarowie, Wilsermarsowie /*Wilsermarsi*/, Krempermarsowie /*Crempermarsi*/. Chociaż mieszkają oni na moczarach, powstał zwyczaj u Sasów, że wszystkie mokradła nazywane są Marsami /*Marsi*/. Grambrowie /*Grambrivi*/ nie pozostawili żadnych śladów; chyba że uznamy, iż stąd może wywodzą się Sykambrowie, ojcowie Franków nad brzegami Renu. Swewowie są narodem najbardziej znanym wśród Germanów.

Teraz opiszemy Wandalów. Rusini /*Russi*), Polacy /*Poloni*/, Czesi /*Bohoemi*/, Dalmaci /*Dalmatae*/, Chorwaci /*Croaci*/ – to jeden lud, jak wykażemy. Hunowie zaś, jako że pochodzą od ojca Tuiskona, zostaną zaliczeni do Germanii; ażeby zarumienili się ci, co /k. 0009/ twierdzą, że są oni Azjatami. Albowiem (co wykażemy w swoim miejscu) mieli oni wielkie imperium w Europie za króla Attyli. Rzeczywiście rozpoznajemy Herkulesa syna Tuiskona, ze wszystkich pierwszego, którego dotyczyło to określenie. Przeczytaliśmy bowiem, że wielu było godnych tego imienia ze względu na męstwo, stąd gotowy wniosek, że był on pierwotnym mężem, od którego tylu sławnych mężów szczyciło się tym imieniem.

Stąd chętnie przyjmujemy, że Teuton był synem Tuiskona, ponieważ wyraz Teuton jest rozpowszechniony w całym plemieniu; tak że wszyscy Germanowie mogliby się nazywać Teutonami; chociaż szersze jest pojęcie Germanii niż Teutonii, ponieważ Germania obejmuje całą najobszerniejszą dziedzinę od Donu po Ren, w której jest bardzo wiele języków. Teutonia zaś ogranicza się do tych prowincji, które używają jednego języka teutońskiego Teutonów. Lecz o tym tyle tymczasem. Wróćmy do Wandalii /tak! bo jest *in Wandaliam* – tłum./. A o jej starożytności – od ojca Wandala, syna Tuiskona – niech już wystarczy nadmienić tyle pokrótce.

Poza tym opowiedzmy po trosze o wielkości ludu i rozległości dziedziny. Za najpewniejszy argument na rzecz jednego ludu przyjąwszy język, który w przypadku Rusi (wielkiego zresztą ludu), Polaków, Czechów, Dalmatów, Istryjczyków i u naszych Wandalów jest jeden, z pewną różnorodnością, która z biegiem i odległością regionów się zdarza. Taką różnicę spostrzegamy w Italii i Teutonii w ramach jednego języka, podczas gdy same nazwy rzeczy są wszędzie te same.

Co do rzymskiego zaś języka ojczystego rodzimego, rozpowszechnionego do Hiszpanii i Galii, a niegdyś sięgającego do Afryki i znacznej części Azji, to jest z nim inaczej, ponieważ Imperium Rzymskie – rozpostarte wówczas na owe regiony przez rzymskie załogi – rozpowszechniło także jego język. Najpierw to przeprowadziło w Italii, niwecząc pierwotne mowy dawnych Etrusków i innych plemion Italii. Nie możemy wymienić zaś żadnego imperium Wandalów albo Rusinów, albo Polaków, albo Czechów, albo Dalmatów, śmiertelnego dla tegoż języka łacińskiego. Rzecz ta, jeśli jest jasna jako taka, domaga się uznania, że lud jest jeden i jeden język u tych szczepów, które wymieniliśmy.

Posłuchajmy Blondusa, rzymskiego pisarza naszego czasu, najlepszego badacza starożytności. Mówi bowiem pod koniec księgi 8, jej pierwszej *Dekady*: „Chociaż bowiem Grzegorz wiele o tym wtargnięciu Słowian do Istrii nie pisze, my jednak uważamy za pewne, że ten lud, który z pewnością ma siedziby za Dunajem, wtedy po raz pierwszy zajął brzeg Morza Adriatyckiego po prawej stronie; i tak kontynuował tam swój pobyt, że cokolwiek wcześniej nazywało się Istrią i Dalmacją, aż do naszych czasów zowie się Słowenią /*Sclavonia*/.

Ale jednak nie cały ów lud pozostawił pierwsze siedziby nad Dunajem, ponieważ ci właśnie zajmują – pod zmienioną nazwą – wielką część owego regionu. Mianowi-

cie podobieństwo języka i nieledwie specyficzność pokazuje, że ci, którzy teraz zowią się Polakami i Czechami, są pozostałościami po Słowianach. Wcześniej zaś zamieszkiwali te tereny Wandalowie, którzy – jak należy sądzić – wyruszyli, ażeby wkroczyć do rzymskich prowincji, część plemienia pozostawiając w ojczyźnie.

Dlatego Słowianie przybywający nieco później do tego stopnia pomieszali języki, że z obydwóch pozostawili trzeci; ten lud z powodu różnorodności regionu i książąt był potem nazywany częścią czeskim, częścią polskim.

Tu wymagam Blondusie twojej roztropności, ażebyś dobrze zrozumiał, że *Wandalowie* to ogólne określenie ludu, że jedno plemię miało jeden język i nie ma potrzeby wzniecania trzeciego języka z dwóch. /na marg.: Autor nie zgadza się z Blondusem/ Konsekwencja taka sama.

Są także pewne, w najbliższych regionach, /k. 0010/ pozostałości Słowian u Sasów /Saksonów/, których wieśniacy po większej części mają czysto słowiańską mowę, której teraz używają Dalmaci. Są to słowa Blondusa, rzymskiego pisarza.

Choć ja nie zgadzam się z tym wszystkim w zupełności, w tym jestem usatysfakcjonowany, że to poświadcza, iż ten sam jest obecnie język Polaków, Czechów, Dalmatów – co u pozostałych Wandalów w Saksonii. Bo dowodzi to również, że nie Czesi wyruszyli z Dalmacji, lecz Dalmaci z Czech /Bohemii/.

Najbardziej oczywistym, najpewniejszym i najlepszym tego świadkiem jest Święty Papież Grzegorz, który – gdy Słowianie zagrażali Istrii – napisał do biskupów tej prowincji: „Co do mnie, to co słyszę o plemieniu Słowian, które wam zagraża, bardzo mnie przejmuje i niepokoi; przejmuję się tym, co już u was cierpię; drżę, ponieważ zaczęli już opanowywać dostęp do Italii przez kraj Istryjczyków."

Ujawniliśmy to dlatego, żeby wykazać, że jest jedno plemię: Polacy, Czesi, Dalmaci, Istryjczycy, których nasi określali mianem Słowian, starożytni zaś mianem Wandalów. To zaś najstarsze określenie całego

ALBERTVS CRANTZIVS SAXONVM HISTORICVS.

ALbertus Crantzius in Hamburga ciuitate Saxoniæ natus, atque in omni genere literarum educatus fuit. Erat enim felici ingenio & honestis moribus præditus. quam primum is literarum fundamenta percepisset, hinc inde Academias usitauit, & diligentem operam iurisprudentiæ & Theologiæ adhibuit. Itaque sua eruditione factum ut Canonum &S. Theologiæ Doctor crearetur, Anno Christi circiter millesimo quadringentesimo nonagesimo. Postea sese Hamburgum contulit, atque Theologiæ professor, & eius Collegij Decanus omnium consensu constitutus fuit. Eam functionem is magna dexteritate obiuit, atque nihilominus diligentem operam literis nauauit. In primis autem à teneris annis Historiarum lectione delectabatur. Hinc factum ut multarum gentium annales & historias euoluens, suæ quoque gentis sortia facta describere conatus sit. idq; etiam magna laude perfecit. Scripsit enim Historias Saxonũ, Vandalorum, Danorum, ædeoq; omnium fere Septentrionalium Germanorum. præterea aliquot episcopatuum Saxoniæ initia, incremẽta, & successus, quod opus Metropolim inscripsit, atque omnia ad annum millesimum quingentesimum continuauit.

plemienia pozostało tylko u ludzi naszego regionu wśród Sasów, że nawet sami nazywali się Wandalami ci, którzy mieszkali niegdyś nad Morzem Germańskim /inaczej Niemieckim, czyli Bałtykiem/; stamtąd odrzuceni do Śródziemnomorza, oraz bardzo przerzedzeni, doszli do ostatniego niewolnictwa i wzgardy u wszystkich. Wynikło to szczególnie stąd, że każdy z nich, kto był najbardziej bystry, skoro wzdrygał się pogardy i niewoli, wmieszał się pomiędzy najbliższe narody, ucząc się języka tego plemienia, ażeby uniknąć najcięższego jarzma niewoli.

Dziwny obrót rzeczy, iż to plemię teraz uchodzi za pogardzane, którego przodkowie podejmowali się wspaniałych rzeczy, o których należy wspomnieć poniżej. Dziś jednak w ogóle nie wiedzielibyśmy, jakim był lud Wandalów, gdyby rodzimy język Sasów nie zachował tego określenia; że pośród tych, którzy niegdyś byli zwani Wandalami, po przekręceniu wyrazu, co się zdarza, nazywają się Wenedami /Wendami/. Ten szczep nad Morzem Niemieckim, ciągnie się od starego /dawnego/ miasta Holsatia /*Holstein*/, które w ich języku nazywa się Starigard, u Sasów zaś Oldenborch, brzegami Morza Niemieckiego w kierunku wschodnim, aż do Prus (które kiedyś były częścią Sarmacji, teraz zaś zaliczają się do Niemiec /Teutonii/ zarówno prawami jak językiem), sięgając Polski i Rusi.

/na lewym marg.: Wandalowie i Słowianie są tymi samymi/ □

Tłumaczenie: Józef Kabaj

ANTONI MARIANOWICZ

JEST TAKI DZIWNY KRAJ...

Jest taki dziwny kraj, gdzie słowa
Tracą swój zwykły sens bez mała,
Gdzie zad panoszy się, a głowa
To dość wstydliwa cząstka ciała.

Jest taki kraj, gdzie nitki suchej
Nie pozostawia się na nikim,
Cieplejsze czujesz zaś podmuchy
Jedynie będąc nieboszczykiem.

Jest kraj, gdzie bezmyślności szczyty
Zdobyto już piramidalne:
Gdzie się planuje deficyty,
Których zmniejszanie jest karalne.

Jest taki dziwny kraj, że człek tam
Na głowie musi stać co chwila:
Klient się łasi do subiekta,
Gość do kelnera się przymila.

Jest taki dziwny kraj, gdzie jeśli
Ktoś zrobił, co doń należało,
Wnet mu rodacy pomnik wznieśli
I okrył się wieczystą chwałą.

Jest taki dziwny kraj, gdzie brednia
Człekowi towarzyszy wszędzie,
Gdzie łatwiej iść na odsiecz Wiednia
Niż iść załatwić coś w urzędzie.

Jest taki kraj, co pełni wartę
Jako opoka i przedmurze,
Gdzie przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Ale nie przejdziem – przez kałużę.

Jest taki kraj, gdzie nie ma żarcia,
Lecz są bankiety – istne cuda,
Gdzie wieczna trwa huśtawka czarcia,
Gdzie wszystko płynie, zwłaszcza wóda.

Jest taki kraj, że nie umniejszę
Go swym jęzorem jadowitym.
Jest taki kraj, co najdziwniejsze,
Że go się, psiakrew! kocha przy tym.

Z tomu „Ocet siedmiu złodziei”,
P W „Iskry”
Warszawa, 1959

Prezentujemy tekst Sławomira Mrożka pt. „Wróg publiczny", zamieszczony w tomie „Małe listy", wydanym przez Wydawnictwo Literackie w roku 1982.

SŁAWOMIR MROŻEK

WRÓG PUBLICZNY

Kiedy byłem dzieckiem, pytano mnie z wyrzutem, czemu nie biegam i nie skaczę. Niesłusznie, bo biegałem i skakałem, a tylko czasami bywałem cicho i nieruchomo. Ale uwagę na siebie zwracałem tylko w tym drugim wypadku. Widocznie wypadałem wtedy z konwencji, jaka panowała wśród dorosłych na temat dzieci. Dziecko zamyślone to nienormalność, a może i groźba.

Kiedy dorosłem, nieraz pytano mnie na towarzyskich zebraniach, dlaczego jestem smutny. Pytanie irytujące, bo smutny, owszem, bywałem, ale niekoniecznie wtedy. Ja tylko nigdy nie byłem w stanie wytwarzać hałasu ani w postaci gromkiej konwersacji, ani donośnego śmiechu. Co nie jest oznaką smutku, ponieważ hałas niekoniecznie jest oznaką wesołości.

Stawiano mi alternatywę: albo „normalny", „dobrze bawiący się gość", albo pozer, który chce się wydać interesujący przez odmienne zachowanie. A raczej to ja sam tak to rozumiałem, bo towarzystwo na ogół nie martwi się o pozerstwo. Byle tylko czyjeś zachowanie odpowiadało jednej z łatwych klasyfikacji w obiegu. Rola „cierpiącego" też jest do przyjęcia i ma swoje miejsce. Proponowano mi ją więc automatycznie i w dobrej wierze. Moja sprawa, że na nią też nie chciałem się zgodzić. Przecież ja ani nie byłem smutny, ani nie chciałem udawać smutnego.

Osobnik, który nie gestykuluje, nie mówi, nie wykonuje żadnej czynności, a przy tym nie śpi, zawsze i w każdej sytuacji uważany jest za zamyślonego. Niesłusznie, równie dobrze (jeżeli nie przeważnie) bywa wtedy w stanie nieruchawej głupoty. Czasami może go zdradzić jeden gest, na przykład kiedy nagle podłubie w nosie. Wtedy od razu traci nimb myśliciela i ukazuje się widzom i interpretatorom jako rodzaj debila. Znowu niesłusznie. Czy można zaręczyć, że Einsteinowi nigdy nie zdarzyło się podłubać w nosie podczas największego natężenia pracy umysłowej?

Przypuśćmy jednak, że ów osobnik naprawdę jest zamyślony, to również jest prawdopodobne. Wtedy stawia się równanie: zamyślony – smutny. Słusznie czy niesłusznie? Czy znowu automatyczna konwencja, czy też rzeczywiście zamyślenie się nieuchronnie prowadzi do smutku? Przecież nie w każdym wypadku. Istnieje rodzaj zamyślenia, który może prowadzić do rodzaju radości. Na przykład kiedy się coś dobrze wymyśliło, a nawet sam proces myślenia może dawać satysfakcję podobną do zadowolenia ze sprawności ciała albo maszyny.

Implikacja, że myślenie to smutek, nie jest pochlebna dla radości. Oznacza, że radość musi być bezmyślną.

Może więc przez „ zamyślenie" rozumie się tylko jeden rodzaj zamyślenia, mianowicie nad losem, życiem, przeznaczeniem i tym podobnymi i z tych pochodnymi tematami. Takie zamyślenie rzeczywiście trudno kojarzyć z wesołością. Ale nawet smutek nie jest jedyną możliwą konotacją. Równie dobrze może nią być – powaga. Ale w naszych pojęciach „powaga" graniczy tylko o jeden włos z „nadęciem" czy-

li brakiem poczucia humoru. Więc tak czy inaczej zamyślenie nie jest dobrze widziane w towarzystwie. (Obojętnie, czy tam się pojawia naprawdę, czy tylko jest domniemane.) Albo oznacza „smutek", albo „powagę". Z dwojga złego lepiej jest już być posądzonym o smutek (materiał do romantycznej pozy: „smutny, więc cierpi. A cierpi, bo ma przeżycia…" – i tutaj nawet plotki mogą się rozwinąć i jesteśmy już obiema nogami w towarzystwie) niż o powagę („nie zna się na żartach").

Czemu nie można się dziwić. Na ogół spotykamy się przecież i zbieramy w grupy, żeby nam było bezpieczniej niż pojedynczo. Razem, ale tak, żeby nikt nie czuł się zagrożony przez innych, czyli jeden przez drugiego. Należy więc, żebyśmy byli sami swoi (im bardziej „w swoim gronie", tym lepiej) i żeby panowała wspólna, ustalona konwencja prezentacji, klasyfikacji i akceptacji. Ktoś zamyślony (naprawdę, choć to w sytuacjach towarzyskich prawie nigdy się nie zdarza , czy też pozornie, co może się zdarzyć) zawsze jest zagrożeniem. Przecież nie wiadomo, co myśli, i od razu podejrzewamy, że myśli o nas. (Nieuchronny, natychmiastowy odruch egoizmu, tak często nie odpowiadający żadnej rzeczywistości.) Czyli pewnie sądzi, a jak sądzi to już źle. (Widocznie nigdy nie czujemy się dość pewni choćby największych atutów i widocznie zawsze mamy nieczyste sumienie.) Myślenie wyłącza go ze statusu swojaka i zamienia go w obcego, choćby skądinąd był to najlepszy nasz znajomy. A obcy jest zawsze niebezpieczny.

Jeśli więc zdarza się nam myśleć w towarzystwie, czyńmy to tak, żeby nikt nie zauważył.

RENATA SZUBAŃSKA

„PRAWDZIWY FRANCUZ”

W dzielnicy, w której się zatrzymaliśmy, nie mieszkało wielu prawdziwych Francuzów – opowiadali znajomi, którzy zwiedzali ostatnio Paryż. Czyżby? Kim jest prawdziwy Francuz? Na jakiej podstawie można to określić? Gdybyśmy wzięli pod lupę korzenie wszystkich mieszkańców Francji, ilu obywateli czystej krwi francuskiej, wywodzących się w linii prostej od Gallów udałoby nam się zliczyć? Ile lat wstecz musielibyśmy się cofnąć w naszych badaniach?

Określenie „prawdziwy Francuz” jest pojęciem fikcyjnym, biorąc pod uwagę 1500 lat historii migracji we Francji. Kraj ten był drugim co do wielkości imperium kolonialnym na świecie, w skład którego wchodziły między innymi kraje Afryki północnej i subsaharyjskiej, Indochiny, tereny w Ameryce Północnej i Południowej. Do dzisiaj Francja posiada liczne terytoria zamorskie, jak wyspy Guadelupa, Martynika czy la Reunion, a jej najdłuższa granica lądowa znajduje się w Ameryce Południowej i oddziela Brazylię od jednego z francuskich departamentów: Gujany Francuskiej.

Sytuacja migracyjna jest na tyle skomplikowana, że mówimy tu o wielu różnych migracjach. Największy procent ludności, która przybyła do Francji, pochodzi z byłych kolonii Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, a pierwsi emigranci przybyli tu głównie z Algierii, Maroka, Tunezji czy Libanu po pierwszej wojnie światowej, jeszcze przed rozpoczęciem dekolonizacji. W tym samym czasie widoczna była również masowa emigracja ekonomiczna z Polski. W latach 30 Polonia liczyła tu 500 tys. i była drugą co do wielkości grupą etniczną po społeczności włoskiej.

Do kolejnej znaczącej fali imigracji doszło w latach pięćdziesiątych, gdy Francja potrzebowała siły roboczej do odbudowy kraju po drugiej wojnie światowej. Dekolonizacja i wojna o niepodległość Algierii przyczyniły się do masowego napływu arabskich muzułmańskich imigrantów. Był to proces całkiem naturalny, tereny te należały do Francji, a znajomość języka francuskiego ułatwiała asymilację.

Te wędrówki ludów, wymieszanie kulturowe również poprzez mieszane małżeństwa, stworzyły ciekawy i wielokulturowy twór, jakim jest społeczeństwo francuskie. Trudno jest dokładnie zbadać i jednoznacznie określić liczbę Francuzów obcego pochodzenia. Podaje się, że jest to około 20% społeczeństwa. Dane te są jednak przybliżone i chodzi tu o bezpośrednie pochodzenie imigranckie, czyli osoby urodzone poza granicami Francji, które otrzymały następnie obywatelstwo francuskie; lub te, których przynajmniej jeden z rodziców był imigrantem.

Statystyki te nie są wynikiem badań wielu pokoleń wstecz. W przeciwnym wypadku liczba Francuzów, w żyłach których płynie tylko krew Gallów, byłaby dużo bardziej okrojona. Poza tym, system statystyczny odnośnie sytuacji migracyjnej ma wiele ograniczeń i nie dostarcza wyczerpujących informacji. Bezprawne i sprzeczne z wartościami republiki jest wykorzystywanie informacji na temat pochodzenia rasowego i etnicznego. Zgodnie z motto Republiki Francuskiej: Liberté, égalité, fraternité, równość wszystkich obywateli jest

Mundial 2018: kadra reprezentacji Francji na mistrzostwa świata w piłce nożnej

podstawą tworzenia społeczeństwa francuskiego.

Jeśli spojrzymy na liczbę samych imigrantów podaną przez Insee w 2022 roku, wynosi ona 7 milionów – co stanowi 10,2% mieszkańców Francji. W tym wypadku mówimy o osobach, które urodziły się jako obcokrajowcy poza granicami Francji i następnie tu wyemigrowały. Jako emigrantka z Polski zaliczam się również do tej grupy. Podaje się, że 36% z nich otrzymało obywatelstwo francuskie.

Wracając jednak do tematu wielokulturowego i ciekawego społeczeństwa francuskiego, to jednym z przykładów, który może je zobrazować, jest narodowa drużyna piłkarska.

Niejeden pokusił się o złośliwy komentarz na temat jej trójkolorowego charakteru. „Afryka wygrała Puchar Świata" – powiedział pół żartem, pół serio znany komik Trevor Noah w amerykańskim programie satyrycznym „The Daily Show" po sukcesie „niebieskich" w 2018 roku.

Wywołało to we Francji prawdziwe oburzenie. Komentarz został uznany za dyskryminujący i żenujący, gdyż wszyscy członkowie reprezentacji są Francuzami. To prawda, że utalentowany, uznany za najlepszego strzelca Mbappé jest pochodzenia kameruńsko-algierskiego, a Paul Pogba gwinejskiego. Urodzili się oni jednak we Francji, mówią po francusku, zostali wychowani w kulturze francuskiej i sami uważają się za Francuzów. Inny z francuskich piłkarzy pochodzenia algierskiego, Zinédine Zidane, grający w latach 2001-2006 w klubie Real Madrid, został poproszony o uświetnienie swoją obecnością wizyty prezydenta Algierii w Madrycie. Piłkarz odmówił i zapytał, dlaczego miałby to zrobić. Przecież jest Francuzem.

Gdy przyjrzymy się drzewu genealogicznemu innych reprezentantów, to okazuje się, że Lucas Hernandez ma korzenie hiszpańskie, a rodzina Antoniego Griezmanna pochodzi z Niemiec. Dlaczego nikt nie kwestionuje ich obywatelstwa? Czy biały kolor skóry i pochodzenie europejskie lepiej wpisuje się w obraz typowego Francuza?

Rząd francuski jest kolejnym przykładem różnorodności etnicznej. Gérald Dermanin – Minister Spraw Wewnętrznych jest wnukiem imigranta z Algierii. Rachida Dati – była Minister Sprawiedliwości – ma pochodzenie algiersko-marokańskie. Nawet kontrowersyjny, skrajnie prawicowy polityk Eric Zemour nie wywodzi się w li-

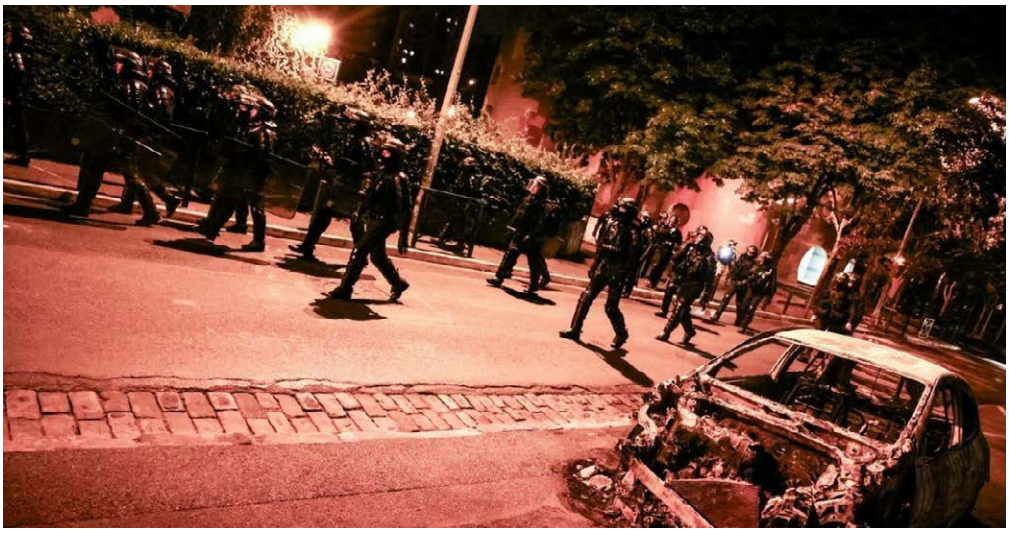

Nocne zamieszki na tle rasowym w Marsylii

nii prostej od Gallów. Jego rodzina to algierscy Żydzi, którzy przybyli do Francji w latach 50 XX wieku.

Przykładów można mnożyć wiele, analizując pochodzenie innych osób publicznych, dziennikarzy, artystów czy aktorów.

To bogate i różne pochodzenie reprezentuje siłę, odzwierciedla bogactwo i różnorodność społeczeństwa francuskiego. Na co dzień, bez względu na pochodzenie, wyznanie czy kolor skóry, ci różni Francuzi razem studiują, pracują, przyjaźnią się, zakochują i tworzą rodziny.

To są również moi koledzy w pracy, sąsiedzi czy przyjaciele. Pochodzenie hiszpańskie, włoskie, portugalskie, polskie, magrebińskie, sudańskie czy wietnamskie. Mogłabym długo wyliczać. Uważam to za wielki dar móc żyć i pracować w tak wielokulturowym otoczeniu. Uczy to tolerancji i otwartości. Ułatwia pokonać tematy tabu dotyczące różnic etnicznych i uświadamia, że mimo tak wielkich różnic kulturowych, religii czy innego koloru skóry, człowiek jako jednostka jest taki sam i ma te same elementarne potrzeby.

*

Sytuacja we Francji jest jednak dużo bardziej skomplikowana, a coraz częstsze napięcia obnażają problemy, z jakimi boryka się kraj. Gdybyśmy chcieli wierzyć mediom – Francja byłaby pogrążona w totalnym chaosie, a życie i bezpieczeństwo obywateli byłyby zagrożone. Sytuacja nie jest na szczęście tak dramatyczna, ale coraz częstsze zamieszki są powodem do obwiniania władz za politykę migracyjną i brak sprecyzowanego modelu integracyjnego, co pogłębia podziały między imigrantami a resztą społeczeństwa. Getta na przedmieściach dużych miast gdzie osiedlali się imigranci głównie z Afryki północnej funkcjonują w świadomości zbiorowej jako miejsca dysfunkcyjne, gdzie przestępczość, bieda i brak perspektyw z góry skazują ich mieszkańców na porażkę i stygmatyzację.

Sytuację jednego z podparyskich gett wiarygodnie zobrazował w swoim filmie „Nędznicy" młody reżyser malijskiego pochodzenia Ladj Ly. Dorastający na obrzeżach Paryża w Montfermeil, pokazał, jak naprawdę wyglądało tam życie. Życie, a może raczej walka o przetrwanie? Terror na ulicach sieją z jednej strony gangi wal-

czące o władzę, a z drugiej ci, którzy chcą po prostu przeżyć.

Bezsilni biali policjanci nadużywają swoich kompetencji i brutalnie rozprawiają się z młodocianymi przestępcami. Przemoc, rosnąca nienawiść, rasizm i eskalacja problemu pozostawiają widza z wieloma pytaniami, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Problem, do którego doprowadziło we Francji nawarstwiane latami napięcie, jest bardziej skomplikowany. Rząd francuski inwestuje miliony, aby zmienić nie tylko infrastrukturę i warunki mieszkaniowe na przedmieściach, ale również poprawić system edukacji. Celem jest pomoc w integracji, a nie umacnianie nienawiści.

Pokazane w Nędznikach Montfermeil jest dziś innym miejscem. Niestety, nie wszystkie getta miały szansę na zmianę i do tej pory ich sytuacja jest raczej dramatyczna i sprzyja rozwojowi przestępczości, głównie handlowi narkotykami. Północne dzielnice Marsylii, gdzie przestępczość jest najwyższa w kraju, rządzą się swoimi prawami. Ich głównym problemem jest przemyt narkotyków, który we Francji jest całkowicie w rękach mafii z Senegalu i Algierii.

Działalność przestępcza kusi młodych mieszkańców trudnych dzielnic i jest alternatywą dla braku perspektyw, lub łatwiejszym sposobem na zarobienie pieniędzy.

Statystki są przerażające. W porachunkach narkotykowych gangów zginęło w Marsylii w 2022 roku 31 osób, i 36 w roku 2023. Sprawcy i ofiary są coraz młodsze. W strzelaninach i egzekucjach giną nawet piętnastolatkowie. Bywają to też przypadkowi przechodnie.

Mieszkańcy bogatych dzielnic Marsylii przymykali oko na to, co dzieje się w dzielnicach północnych, dopóki problem nie dotyczył ich bezpośrednio. Gdy porachunki gangów wyszły poza granice getta i przyczyniły się do zabójstw przypadkowych mieszkańców, liczne demonstracje i protesty zmusiły rząd do podjęcia dodatkowych działań. W tym roku powołana została specjalna jednostka CRS do walki z gangami narkotykowymi na obrzeżach Marsylii.

Mieszkańcy uprzywilejowanych dzielnic omijają przedmieścia, a mieszkańcy gett, którzy nie mają nic wspólnego z przestępczością i marzą o lepszym życiu, często są skazani na stygmatyzację. Jest to błędne koło, z którego trudno się wydostać. Poczucie dyskryminacji i brak perspektyw zniechęcają i wywołują frustrację. Po co się starać, skoro elitarne szkoły są niedostępne, a prestiżowe stanowiska zarezerwowane dla „białych Francuzów". Jest to jedna z narracji, która oskarża republikę o dyskryminację. Gdy spojrzymy na problem z innej strony, to zauważymy, że powodem dla którego młodzi nie chcą wydostać się z zamkniętych blokowisk, jest niechęć i pogarda do tradycyjnych ścieżek kariery. Według statystyk bezrobocie wśród ludności magrebinskiej wynosi około 30-40%, podczas gdy we Francji jest to średnio 8%.

Ci, którzy próbują zmienić swoją sytuację, padają często ofiarą ostracyzmu wśród lokalnej społeczności. Coraz częściej młodzi francuscy muzułmanie nie utożsamiają się z Francją jako swoją ojczyzną. Wprawdzie deklarują się Francuzami, ale jako kraj ojczysty wymieniają ten, z którego pochodzą. Paradoksem jest to, że są to już trzecie lub nawet czwarte pokolenia imigranckie. Mamy tu do czynienia z procesem przeciwnym do asymilacji. W przeciwieństwie do swoich dziadków, którzy znaleźli we Francji lepsze warunki życia i awans społeczny, młode pokolenia oddalają się od Republiki. Czują żal i niechęć do Francji. Coraz częściej podkreślają swoje pochodzenie i w brutalny sposób pokazują swoje niezadowolenie.

W tym roku podczas zamieszek po zabójstwie 17 letniego Nahela, pochodzenia

Kadr z filmu „Nędznicy" w reżyserii Ladj Ly

marokańsko-algierskiego, przez policjantów drogówki, to rodzice buntowników apelowali do swoich dzieci o zaniechanie przemocy. W sieci można zobaczyć nagranie, na którym ojciec wyciąga z tłumu protestujących swojego syna i zamyka w bagażniku, aby odwieźć go do domu.

Trudno zrozumieć agresję, przemoc i wandalizm, które przyczyniły się do ogromnych strat w kraju, doprowadziły do zniszczeń mienia również sąsiadów i znajomych. Zabójstwo Nahela było pretekstem do zademonstrowania frustracji z powodu dyskryminacji, rasizmu i braku pomocy ze strony rządu. Śmierć Adama Traoré po zatrzymaniu przez policjantów w 2016 jest innym przykładem, który wywołał wiele kontrowersji i stał się powodem do oskarżenia policji o dyskryminację.

Czy rzeczywiście zarzucanie Francji rasizmu systemowego jest uzasadnione?

Francja jest krajem, w którym rasizm instytucjonalny na pewno nie istnieje. Wiele instytucji rządowych walczy z przejawami dyskryminacji na różnych poziomach. Był on jednak głęboko zakorzeniony w czasach Wspólnoty Francuskiej, gdy istniał podział na obywateli republiki i jej poddanych. Zostanie obywatelem republiki wymagało wtedy porzucenie wiary muzułmańskiej.

Podczas wojny z Algierią w metropolitalnej Francji została wprowadzona godzina policyjna tylko dla Algierczyków. Demonstracje przeciwko wojnie były krwawo tłumione, a ciała katowanych i zabijanych Algierczyków wrzucano do Sekwany. Mimo że jest to niedaleka historia, sięgająca lat 50-60 XX wieku, sytuacja dziś jest zupełnie inna. Równość wszystkich obywateli jest kluczowa, a przejawy jakiejkolwiek dyskryminacji czy rasizmu są niezgodne z prawem.

Jednakże po zamachach na World Trade Center w 2001 roku zaczęła wzrastać niechęć do populacji muzułmańskiej, która dziś liczy we Francji 5,4 miliona i jest największa w całej Europie.

Seria zamachów terrorystycznych dokonanych przez Państwo Islamskie w Pa-

ryżu w 2015 roku, a następnie w Nicei w 2016 roku, wpłynęła na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców Francji i umocniła mit muzułmanina terrorysty. Niewinni francuscy wyznawcy islamu padali ofiarą bezpodstawnej agresji. Pamiętam dokładnie atmosferę, jaka towarzyszyła tamtym wydarzeniom.

Atak na redakcję Charlie Hebdo czy Bataclan, ścięcie głowy nauczycielowi Samuelowi Paty za pokazywanie karykatur Mahometa – to przykłady, jak niebezpieczny może być radykalizm. 3 lata po tym wydarzeniu, w 2023 roku, doszło ponownie do zabójstwa nauczyciela przez czeczeńskiego islamistę.

Francuski rząd walczy nieustannie z separatyzmem i izolacją, które mogą doprowadzić do radykalizacji i nie pomagają w asymilacji. Afiszowanie się atrybutami religijnymi nie jest prawnie dozwolone, natomiast wolność wyznania jest prawem każdego. Ustanowienie świeckiego państwa, tak często błędnie odbierane jako atak na wiarę muzułmańską przez jej wyznawców, ma na celu zapewnienie takich samych praw wyznawcom wszystkich religii.

Pozwala ono również uniknąć sytuacji, gdy dominacja jednej z religii mogłaby wpłynąć na funkcjonowanie kraju. Biorąc pod uwagę liczbę muzułmanów we Francji, która ciągle wzrasta, może okazać się, że islam w przyszłości będzie religią najczęściej tu wyznawaną. Obecnie plasuje się na drugim miejscu po chrześcijaństwie.

Liczba imigrantów ma cały czas tendencję wzrostową. W 1946 wynosiła tylko 5%, w 1975 – 7,4%, przy obecnym wyniku 10,3%.

Z jednej strony obserwujemy dziś nową falę uchodźców, szukających schronienia i uciekających przed wojnami w Syrii, Afganistanie czy Ukrainie, a z drugiej strony migracje krewnych Francuzów, którzy żyją poza Francją. Proces ten dotyczy głównie rodzin z Maghrebu. Według prawa francuskiego rodziny Francuzów obcego pochodzenia, żyjące poza granicami Francji, mogą po pewnym czasie dołączyć do swoich krewnych. Muzułmańscy mężczyźni szukają często żon w krajach arabskich i sprowadzają je do kraju, ponieważ francuskie muzułmanki są dla nich już zbyt wyzwolone. Według statystyk ogólnie biorąc 48% imigrantów urodziło się w Afryce.

Czy imigracja stanowi faktycznie tak duży problem? Generał Charles de Gaulle – były prezydent Francji – powiedział, że nie zagraża ona kulturze francuskiej, a wręcz przeciwnie: wzbogaca ją; ale pod warunkiem, że pozostaje mniejszością.

Jak będzie wyglądała Francja za 50 czy 100 lat, jeśli imigracja będzie utrzymywać się na tak wysokim poziomie jak przez ostatnie lata? Czy możliwa będzie integracja i przyswajanie wartości Republiki w tak szybkim tempie?

Nie sama imigracja jest tu problemem, ale jej szybki wzrost, który uniemożliwia naturalną asymilację.

Dlatego też, po ostatnich zamieszkach i nieustannym wzroście liczby imigrantów, rząd francuski pracuje obecnie nad nową ustawą, która ma na celu większą kontrolę i poprawę systemu integracji. Jest to kluczowe, aby imigranci przybywający do Francji nie stanowili wykluczonej grupy społecznej. Historia pokazała, że tworzenie gett nie sprzyja asymilacji, a wręcz przeciwnie prowadzi do napięć społecznych i izolacji. Większa kontrola może natomiast pomóc rozprawić się z objawami radykalizmu na wczesnym etapie lub wyeliminować działania na szkodę państwa.

Najważniejsze jednak jest to, aby wszyscy, którzy przybywają do Francji i wybierają ją jako swoje miejsce do życia umieli i przede wszystkim chcieli zaakceptować jej wartości i partycypowali w rozwoju zarówno ekonomicznym jak i kulturalnym kraju. Tylko wtedy to wielokulturowe społeczeństwo będzie mogło kontynuować rozwijać się jako silne i bogate. □

LECH MAZUREK

REQUIEM DLA ŚWIECKOŚCI?

Czy świeckość naszego państwa stanowi przykładny obraz demokracji? Czy postępująca w Polsce laicyzacja dostatecznie ją wypełnia? Może wobec świadomościowych przemian Polaków nie trzeba już walczyć o świecką przestrzeń? A może, wręcz przeciwnie – należy sumienniej się integrować wobec istniejących ciągle zagrożeń?

Oto jedna z organizacji kończy swoją ważną aktywność, a więc postanowiłem przyjrzeć się szerzej tej problematyce, przeprowadzić refleksję nad naszą świeckością.

Pożegnanie ze świeckością?

Zaproszenie na Dni Świeckości do Krakowa stało się dla mnie ważne z trzech powodów. Po pierwsze miały to być ostatnie takie Dni, jak stwierdzili organizatorzy – Stowarzyszenie Wszechnica Oświatowo-Racjonalistyczna (SWOR), a więc odpisałem – „jak tu nie być na pogrzebie". Po drugie uznałem, że to dobry czas, by odnowić przyjaźń z dawnymi kolegami i po trzecie wiedziałem, że będzie to właściwa chwila, by analitycznie spojrzeć na działania różnych organizacji mających w statucie walkę o świeckość naszego państwa. Tę analizę nazwałem *Requiem dla świeckości*, bo właściwie oddaje stan ducha krakowskich organizatorów – żal i smutek z zakończenia czegoś, co stanowiło do niedawna ważny wyznacznik ich działania. Ale „formuła się wyczerpała" – tak stwierdzili organizatorzy. Czy podobnie może stać się w innych organizacjach pro-świeckich?

Decyzja krakowskiego SWOR o zakończeniu projektu, który ewoluował z Marszu Ateistów i Agnostyków (organizowanego po raz pierwszy w 2009 roku), to dla mnie też moment do głębszej refleksji co do swojego zaangażowania w promowanie postawy ateistycznej.

Wiemy, że idea przywrócenia świeckiej przestrzeni państwa w naszym społeczeństwie nie wygasła, a wręcz jest dziś wyraźnie nasilona. Prasowe nagłówki krzyczą wprost: „Postępuje laicyzacja Polski. >> Nie ma żadnych szans, żeby to zmienić<<". Skąd więc takie smutne zakończenie w Krakowie? Tu mogą rodzić się kolejne pytania. Czy może już nie ma sensu się zrzeszać, integrować wokół idei humanistycznych, racjonalistycznych i ateistycznych? Czy w ogóle jest o co walczyć, gdy w społeczeństwie dojrzały racje równościowe i wolnościowe? Czy powinniśmy skończyć – mówiąc wprost – z akcjami propagującymi świeckość?

Niestety przemiany świadomościowe nie sięgnęły władzy, a to ona nadaje najważniejszy bieg społecznym przemianom. Dyskryminacyjne zachowania, a nawet wręcz prześladowanie grup mniejszościowych i klerykalizacja przeróżnych przestrzeni wspólnych rozwija się w najlepsze. Bez wątpienia o neutralność światopoglądową państwa musimy dalej walczyć. Robią to na swój sposób różne fundacje i stowarzyszenia. Jako bezpośredni uczestnik tych eventów w większości relacjonuję je w prasowej publicystyce z zachwytem. Czy jednak przykład krakowski nie jest czasem symptomatyczny?

Jak więc się organizujemy pro-świecko? Jaki skutek przynoszą wykłady, prelekcje, fora dyskusyjne, marsze, zloty, odezwy, manifesty? Jakie narzędzia wykorzystujemy przy okazji tych działań, by zwrócić na siebie uwagę, a właściwie, by zwrócić uwagę na sprawy, które chcemy rozwiązywać? Co nam się udało, a co nie zagrało?

Obraz klerykalizacji Polski

Adam Jaśkow, prezes krakowskiego SWOR, w swoim tekście podsumowującym dziesięcioletnią działalność Stowarzyszenia przypomniał aktywność wielu ludzi, którzy czynnie wspierali idee świecko-

ści swoimi wykładami. Pisze on tak: „Przez lata organizowaliśmy Dni Świeckości, największą, bo jedyną taką imprezę w Polsce. Organizowaliśmy dyskusje, prezentowaliśmy idee, szukaliśmy rozwiązań".

Jako przykład takich poszukiwań warto przywołać kierunkowe założenia do wspomnianych Dni Świeckości 2023 i dwa przewodnie tematy: „z naszymi gośćmi będziemy się zastanawiać, jak przywrócić świecki charakter państwa; sprawić, by władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowywały bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym".

W jednym z tematów: „Nauka i edukacja oparte na faktach" prelegentem był między innymi dr Maciej Gdula – socjolog i poseł na Sejm RP. Z optymizmem skonstatował on, że w Polsce wiele środowisk dojrzało już do zmian i widzi potrzebę zweryfikowania relacji Państwo-Kościół. Ta potrzeba prowadzi nas wprost do tego, że „nie będziemy bronić demokracji, a robić demokrację, wypracowując w dialogu nowe rozwiązania" – stwierdził.

Profesor Joanna Hańderek – kandydująca z list Lewicy w tych wyborach, w panelu „Państwo wolne od infiltracji religijnej" zwróciła uwagę na schizofrenię środowisk broniących religijnych pozycji. A to pojawia się dyskurs „zygotarian" o istocie człowieczeństwa, a to jakaś katolicka nauka o obronie zwierząt (jakoby biblijnie potwierdzona), a to narzucany dyskurs polityczny o pokoleniu JP II. Te przykłady to wyraźny przejaw ponowoczesnego fanatyzmu religijnego – podsumowała pani profesor.

Adam Jaśkow – moderator takich spotkań, w swojej ostatniej refleksji podsumowującej wieloletnią działalność nie ma złudzeń, stwierdzając wprost: nasze działania mają niewielkie przełożenie na zmianę statusu ludzi widzących w świeckości receptę na normalność. W ostatnich latach życie jednostek wolnych od religii w przestrzeni publicznej nie było łatwe. Państwo, które powinno być wolne od wyznaniowych wymuszeń, nawiedzały kolejne przeciwności.

Tu, poza przykładami płynącymi z powyższego podsumowania, chcę przywołać szerszy kontekst naszej „polskiej niedoli" – choćby hasłowo. Owe przeciwności burzące świeckie podstawy państwa to między innymi: wprowadzenie zasady respektowania wartości chrześcijańskich do ustawy o radiofonii i telewizji oraz systemu oświaty; niezrealizowana likwidacja funduszu kościelnego; utrzymywanie ulg podatkowych, darowizn, bonifikat na zakup ziemi i nieruchomości dla kleru i kościoła; wprowadzenie artykuł 196 w Ko-

deksie Karnym o obrazie uczuć religijnych; nieplanowane początkowo wynagrodzenie katechetów stało się faktem; mnożenie stanowisk kapelanów z sowitymi gażami w urzędach (np. skarbowych?!); w miejsce Opus Dei pojawia się Ordo Iuris ze swoją klerykalną aktywnością po cichu promowaną przez władze państwa; nagonka na społeczność LGBT i obrażanie inaczej myślących w tym ateistów; włączanie się kleru w proces stanowienia prawa (np. aborcyjnego); zawężenie opieki lekarskiej (darmowa aborcja, antykoncepcja bez recepty, opieka ginekologiczno-psychologiczna od 15 roku życia, badania prenatalne kobiet >>klauzula sumienia<<); likwidacja budżetowego finansowania *in vitro*; przyzwolenie na uprawianie przemocy religijnej wynikające z kościelnych praktyk (spowiedź dzieci, egzorcyzmy na dzieciach, a także przemoc wobec kobiet w rodzinie); tolerowanie bezkarności przestępców w sutannach (pedofilia); finansowanie studiów teologicznych głównie jednego wyznania na uczelniach państwowych (nie wspominając o umieszczeniu ich w przestrzeni uczelni naukowych!?); zakaz wspierania procesu nauczania przez organizacje społeczne (edukacja: seksualna, obywatelska i równościowa); brak możliwości rozliczenia kościelnych nadużyć i przestępstw (zamknięte archiwa kościelne); torpedowanie wszelkich starań prawnych liberalizujących dotychczasowe ustawy o cmentarzach i pochówkach; religijny charakter uroczystości państwowych stał się niemal normą; symboliczna przemoc religijna – krzyże jako nieodłączne insygnia w placówkach świeckiego państwa, w urzędach, szpitalach i szkołach.

Powyższe przykłady, ewidentnie klerykalnych działań zawłaszczających wspólną przestrzeń życia prywatnego i w szczególny sposób rodzinnego, to bez wątpienia „czarna smuga" na naszej demokracji.

Wiele z tych patologii, za które odpowiada władza, obnażają też inne organizacje. Stowarzyszenie Kongres Świeckości (zainicjowane w roku 2017), skupiające blisko dwadzieścia organizacji i inicjatyw społecznych, teraz przed wyborami (2023 roku) jasno stwierdza w swojej odezwie: „Rozdział kościoła od państwa jest dziś w Polsce wyłącznie deklaratywny i pozorny".

Władza nie szanuje dobra wspólnego, jakim jest Rzeczpospolita Polska, nie wypełnia równościowych praw, które ustanowiła. To chyba dostrzegają wszyscy obywatele nieidentyfikujący się z żadnym wyznaniem, ani ci identyfikujący się z innym niż katolicyzm. W wielu wypadkach zapisy konstytucyjne są pustymi formułami. To możemy wyczytać w przedwyborczej petycji Bożeny Przyłuskiej z Kongresu Świeckości.

Wiemy, w jakim stanie znajduje się państwo, jak władza została skorumpowana przez Kościół katolicki. Można przypuszczać, że bez naszych wolnościowych działań, bez usilnego głoszenia dążeń do poszanowania konstytucyjnych praw, Polska byłaby dziś bliżej ustrojowej teokracji.

Czy jednak z drugiej strony te działania, które prowadzimy, są wystarczające, czy metody, jakie stosujemy, są odpowiednie? Czy edukacyjna praca prowadzona przez naukowców, publicystów, światłych polityków, także w ramach wspomnianych organizacji, jest realizowana mądrze i skutecznie? Czy inne organizacje (poza wspomnianym SWOR) mają lepsze doświadczenia?

Wielość i jakość naszych działań

Wiele organizacji, które mają na sztandarach świeckość państwa, promuje też idee racjonalizmu i humanizmu. Te organizacje funkcjonują w różnych formach. Jedne kładą akcent na masowe akcje poprzez pochody, marsze, demonstracje organizowane przez siebie lub wspólnie z innymi (Marsze Kobiet, Marsze Równości). Do nich należą m.in. przywołany tu SWOR, ale też Kongres Ateistyczny, Fundacja im. Kazimierza Łyszczyńskiego, Kongres Świeckości oraz Stowarzyszenie Polska Laicka. Często te akcje uzupełniane są wykładami, prelekcjami podczas Dni Świeckości, Dni Ateizmu, Dni Darwina, Dnia Przyszłości, ale też cyklicznymi zlotami ateistów, gdzie

nominuje się na przykład osoby na Ateistę/Ateistkę Roku. Jedne organizacje specjalizują się głównie w naukowej publicystyce, stąd przy fundacjach, stowarzyszeniach powoływane są tytuły prasowe. Krakowskie Stowarzyszenie „KUŹNICA" wydaje pismo „Zdanie" i współorganizuje m.in. Kongres Forum Przyszłości. Towarzystwo Kultury Świeckiej w Krakowie wydaje kwartalnik „Forum Myśli Wolnej", Towarzystwo Humanistyczne wydające internetowy kwartalnik „Racje" we współpracy z Free Inquiry, organizuje też kluby dyskusyjne z odczytami, wywiadami i rocznicowymi sesjami. Polskie Stowarzyszenie Racjonalistyczne na stronie internetowej pokazuje szereg działań w swoim blisko ćwierćwiecznym istnieniu, m.in. organizuje szkolenia celebrantów humanistycznych dla świeckich ceremonii i nadaje tytuły Racjonalisty Roku. Jeszcze inni działają jedynie na internetowych stronach (często firmowanych jednoosobowo): Racjonalista.pl, Racjonalista.tv, Stacja Ateizm, Stowarzyszenie Polska Laicka, Listy z naszego sadu.

Niektóre organizacje korzystają z krajowych zasobów osobowych, świata nauki, inne na dużą skalę włączają się w światowy krąg humanistów, racjonalistów i ateistów, zapraszając ich przedstawicieli na wykłady do Polski. Jedna z ostatnich dużych konferencji „Nauka nie urojenia", którą organizowała Fundacje im. Kazimierza Łyszczyńskiego (marzec 2023), wśród międzynarodowego składu (45 prelegentów) gościła wyjątkową postać światowego formatu – Richarda Dawkinsa.

Poza wspomnianymi podmiotami działającymi na rzecz społeczeństwa obywatelskiego istnieją portale internetowe skierowane głównie do pedagogów, rodziców, a nawet młodzieży, np.: Fundacja Wolność od Religii, Etyka w szkole, Nieco-Dziennik Etyczny. Powyższa wyliczanka to oczywiście nie monografia ani historiografia tych organizacji.

Bez wątpienia dojście do normalności w naszym kraju zajmie nam wiele lat. Organizacje pro-świeckie muszą istnieć jako zarzewia normalności, jako zalążki myślenia prodemokratycznego optującego za prawami równościowymi dla wszystkich, za neutralnością państwa wobec różnorodności światopoglądowo-kulturowej.

Prawda o nas (subiektywna)

Wiele można by napisać o stanie naszego ducha, o skuteczności działań i formach współpracy – integrowania się. Realia możemy wyczytać na jednym z wpisów na portalu internetowym SWOR: „Nie mamy chętnych do pracy przy organizacji [Dni Świeckości]. My się starzejemy, a młodej kadry nie ma […] Przychodzi na nasze wykłady grono zasłużonych, ale emerytowanych profesorów i nieliczna grupa słuchaczy. […] Doskwiera nam brak chwytliwej formuły, by zainteresować młodych".

Mimo że w założeniach programowych, które widnieją w statucie organizacyjnym: „Chcielibyśmy, by [Dni Świeckości] były imprezą stymulującą intelektualnie, świętem humanistów, wolnomyślicieli, ateistów i agnostyków, a również wierzących, którzy opowiadają się za świeckością". Trudno doszukać się tu tematyki skierowanej do szerszego grona: do agnostyków, nowych konwertytów na niewiarę czy wierzących (letnich katolików). Nie widać też ukłonu w kierunku młodych ludzi tak licznie dziś odchodzących od kościoła. Ta uwaga odnosi się do wszystkich organizacji, które w dużej części rozpoznałem.

W sprawie integrowania się społeczności pro-świeckich na przestrzeni ostatnich lat wolnej Polski mamy przykłady mądrego współdziałania, wymieniania się doświadczeniami i wspierania w organizowanych akcjach, ale mamy też do czynienia z działaniami dezintegrującymi. O skłóceniu naszego środowiska najlepiej wiedzą stali bywalcy zlotów, spotkań w Warszawie czy Krakowie. Dodatkowo ci incydentalnie pojawiający się na różnych eventach mogą być zażenowani poziomem zwalczania konkurencji, wspólnej niechęci i kłótni, gdy zdarzy im się wyczytać komentarze pod postami ich liderów. Bez wątpienia problem leży

w ambicjach tych liderów, ale też osobowościach, które w kilku wypadkach nie mają daru łączenia. To niewątpliwie utrudnia wspólny lobbing świeckości. Modne dziś hasło „pojednajmy się" (szczególnie przed wyborami 2023 roku), jednych śmieszy (zadry są ogromne), innych napawa nadzieją w sytuacji widocznych przemian świadomościowych Polaków i ewentualnego nowego otwarcia, które powinno nastąpić po wyborach. Uznaję, że dziś współdziałanie naszych laickich środowisk powinno zaistnieć w większej skali. To może zbudować jedynie osoba z zewnątrz, niereprezentująca konkretnej organizacji. Taką postacią jest na przykład właściciel wydawnictwa STAPIS – Stanisław Pisarek, wydawca książek w dziale „Bez bogów". Jego znajomość z liderami różnych środowisk tu wymienionych dawałaby szansę na jakąś formę integracji. Będę za tym optował.

Co przed nami?

Musimy zdawać sobie sprawę, iż lobbing kościelny będzie próbował odzyskać tracone pozycje. Nie spodziewam się zastąpienia dzisiejszej klerykalizacji programową ateizacją. Nikt dziś do tego nie dąży, nawet *stricte* ateistyczne organizacje. Partie lewicowe chcą poszanowania praw wszystkich, także – uczuć ludzi wolnych od religii, które dziś nie są uwzględniane. Niestety nasza konstytucja nie przewiduje wolności dla wyznawania światopoglądu niereligijnego, a mówi jedynie o wolności sumienia i religii. Nie wspomina też o istnieniu organizacji laickich. Mówi wyłącznie o kościołach i związkach wyznaniowych i o ich stosunkach z państwem (za Pawłem Boreckim). Na marginesie, ze smutkiem należy skonstatować, że na poziomie Unii Europejskiej również nie ma otwartości, woli, by wpisać do Traktatu Lizbońskiego organizacje niereligijne. Artykuł 17 tego Traktatu wspomina jedynie o kościołach i wspólnotach religijnych.

Mimo tych aktualnych przeciwności spodziewam się, że w niedługim czasie energia ludzi władzy i ich partyjnego zaplecza, dotychczas wykorzystywana do obrony „oblężonej twierdzy" – niby ateizacji, seksualizacji dzieci, rozwiązłości moralnej głoszonej przez kościół (wobec nas) – skupi się na rozwijaniu prawdziwie humanistycznych wartości, idei tworzonych dla ludzi przez ludzi. Racjonalne myślenie musi się ujawnić w większym stopniu i doprowadzić do coraz uczciwszego akceptowania praw równościowych, w tym wolności od religii. Nasze świeckie organizacje powinny nadawać ton tym przemianom. Najlepiej silnym, jednobrzmiącym głosem w fundamentalnych sprawach.

Państwo zaś, w nowym otwarciu, powinno uzyskać możliwość „pielęgnowania" świeckich przejawów życia jako gwaranta demokratycznych praw do wolności sumienia i wolności od religii, na równi z wolnością religijną. „Świecką aktywność państwa" (za Mirosławem Woronieckim) powinniśmy rozpocząć od zaraz. Nasza konstytucja i wiele ustaw w swoich zapisach daje możliwość egzekwowania świeckości już dziś. Ten fakt przywołała Dorota Wójcik z Fundacji Wolność od Religii, panelistka biorąca udział w omawianych Dniach Świeckości 2023. Dla mnie jest on równie oczywisty i dziwię się, że owa świeckość nie jest w prostych działaniach wypełniana. Zdaję sobie oczywiście sprawę, podobnie jak zapewne większość z nas, że zerwanie dotychczasowych praktyk władzy w stosunku do Kościoła (w minionych dekadach prowadzonych przez SLD, PO, PIS) nie będzie łatwe, ale nowe wybory muszą otworzyć nowe rozdanie na linii Kościół-Państwo. Tylko świeckie państwo daje szansę na autentyczną neutralność światopoglądową, tj. nieopowiadania się po żadnej ze stron. Musimy liczyć na to, że nowa władza po wyborach 2023 roku (nauczona doświadczeniem) będzie przychylniejsza organizacjom pro-świeckim, a wypracowane przy ich udziale zmiany będą honorowane. □

(14 października 2023 – dzień przed wyborami do Zgromadzenia Narodowego w Polsce)

POLITYCZNY OMLET

Wspólnie z moją wnuczką i jej dwiema „psiapsiółkami" postanowiłyśmy poćwiczyć smażenie omletów. Omlet – jak to omlet – niby nic wielkiego, ale nadzienie! To przecież decyduje o jakości dania. Na zewnątrz zimno i szaleje śnieżyca, więc my zdecydowałyśmy, że dzisiejsze omlety będą z owocami. W kuchni zapachniało owocowo-smakowicie, jesiennie i wiosennie. Jak zwykle dziewczyny plotkowały, z lekka obgadując wspólnych znajomych.

Przysłuchiwałam się temu „ćwierkaniu". Zauważyłam, że dziewczyny pozostawiają za sobą wszystko to, co drażni, męczy, denerwuje. Teraz ich świat to troska, żeby owoce do omleta się nie rozpadły. A może tak właśnie ma być? Może nie wolno dać się zdominować bzdurnej postaci świata? Może nie warto dać się zamknąć w dręczącym podziale na „nas" i „onych"?

– Ale super zapach! – W sielankową atmosferę kuchni wdarł się coraz mocniejszy (ostatnio) baryton wnuka. Dawno już nie jest to wnusio-chłopaczek. Teraz to wnuk -mężczyzna. No, prawie, ale zmierza w dobrym kierunku.

– Dacie coś na ząb? Zgłodniałem. – Osobnik z barytonem prezentował zgoła praktyczne myślenie.

Dziewczyny stwierdziły, że tak, owszem, ale pod warunkiem, że pozmywa potem talerze. Rozpoczęły się negocjacje. Słuchałam z rozbawieniem.

– Babciu – wnuk szukał u mnie poparcia. – A jakby tak bez tego całego zmywania? Przecież dziewczyny i tak stoją przy garach, to samo zmywanie to pikuś, no nie?

– Jak taki pikuś, to poradzisz sobie małym palcem, co nie? – Jedna z dziewczyn osadziła go na miejscu.

– No, ale przecież kobiety… – Próbował oponować.

Nie zdążył. Trzy dziewczyny omal go nie zakrzyczały. Padały oczywiście argumenty o stereotypach, o tym, że to się już skończyło. Jedna z nich – ruda i piegowata – wyciągnęła w jego stronę wskazujący palec i wycedziła:

– To wy, chłopy tacy wielcy jesteście, że każda czynność poniżej zabicia mamuta to dla was poniżenie? Zapomnij! Po piętnastym października zapomnij!

Mój wnuk, zazwyczaj rzeczowy i stanowczy, zamrugał zdumiony.

– Dlaczego po piętnastym? – Widać nic „nie kumał".

– Oj, ale jesteś bystry! – Jego rodzona siostra pokiwała z politowaniem głową. – Kobiety przecież wygrały wybory! Ogarniasz? Już od teraz nic nie będzie jak dawniej. Co innego było podczas protestów i demonstracji. To były emocje, złość. A co innego zorganizować się, dogadać ponad podziałami i wygrać, wreszcie wygrać! Dla was, chłopaki, też!

Dziewczyny skwapliwie potakiwały.

Mój wnuk popatrzył na nie, potem na mnie. Rozłożył bezradnie ręce.

– Babciu! One oszalały! Oszalały politycznie! Przecież to tylko omlety! Nic nie rozumiem! Nic.

Musiałam wreszcie „jakoś" się odezwać.

– A ja to bardzo dobrze rozumiem. Kumam jak mówicie. Tu nie chodzi o politykę. No, może nie tylko. Chodzi o zasady. O pozbycie się stereotypów. Np. takiego, że równouprawnienie to mit i bzdura.

– Babciu! A jak pojąć równouprawnienie, gdy trzeba wytaszczyć fortepian na ósme piętro? – z chichotem zapytał młody baryton.

– To proste! – Ruda koleżanka przymrużyła oko. – Faceci targaliby ten fortepian, a babki zamówiłyby dźwig! O!

Cała kuchnia zatrzęsła się od śmiechu. Wnuk stwierdził, że się poddaje, bo jest w mniejszości.

– Daj spokój – powiedziałam. – Większość to nie tylko liczby. To też argumenty rozumowe. Dziewczyny mają rację.

Ruda i piegowata przyniosła przedstawicielowi męskiej mniejszości talerz, a na nim przepiękny omlet z nadzieniem owocowym.

– To dla mnie? – Nie dowierzał.

– Jasne. Omlet dostałeś. Tak ma być.

– Smaczny. A może jeszcze jeden?

– Da się zrobić. Ale od zmywania się nie wymigasz. Musimy być konsekwentne. To jedyna metoda, by nie skończyło się na omlecie, ale żeby znowu i znowu wygrywać.

Zrozumiałam, że przełom dokonujący się przy smażeniu omletu może mieć istotny związek z przełomem przy urnie.

No cóż. W naszej rzeczywistości nawet omlet może być polityczny. Smacznego!

Babcia

GEST PODERŻNIĘCIA GARDŁA

Sportowe stacje telewizyjne prześcigają się w przekazywaniu nam, zwykłym ludziom relacji z zawodów w sportach walki. Tych dyscyplin sportu (nazwa jest coraz bardziej umowna) jest tyle, że trudno zliczyć. Zasady proste, jak to w życiu: Kto kogo. Do tego dokładany mądrzejszy lub głupszy zestaw reguł i mamy widowisko. Czasem śmieszne, czasem groźne, a czasem nie wiadomo po co. Nie wiadomo? A pieniądze to nic?

Czasem zdarza mi się spoglądać na ekran telewizora, by wiedzieć, jak jacyś dżentelmeni usiłują sobie nawzajem zrobić krzywdę. No cóż – tradycja sportów walki jest stara jak sama ludzkość.

Onegdaj trafiłem na transmisję z bardzo ważnej ze względu na rankingi walki pięściarzy wagi ciężkiej. Ogromni faceci kolorowo acz niegustownie odziani, obwieszeni złotymi (?) łańcuchami pojawiają się kolejno w ringu. Wszystko dokładnie sprawdzone. Rękawice, ochraniacze na szczęki, suspensoria. Sędzia jeszcze raz dogląda wszystkiego. Przecież zdrowie i bezpieczeństwo zawodników to priorytet.

Nagle jeden z pięściarzy, któremu widać nie wystarczy buńczuczna mina i epatowa-

nie pięknie wyrzeźbioną sylwetką, obraca się w stronę przeciwnika i wykonuje gest jako żywo obrazujący podcinanie gardła nożem. Do tego wytrzeszczone oczy i wywalony jak najdalej język. Ma być groźnie, ma być strasznie. Ma być groźnie, a jest głupio. Dlaczego? Ano dlatego, że puszący się cymbał ma na dłoniach kilkuuncjowe rękawice, w których utrzymanie jakiegokolwiek przedmiotu, nie mówiąc o nożu, jest po prostu niemożliwe. Poza tym ta walka ma być na pięści, a nie na noże. Gest ów zatem dobitnie świadczy o tym, że ów dumny gladiator w wielobarwnych gaciach nie wie, co to logika, a w łepetynie zamiast mózgu ma rozbełtane kwaśne mleko. Publiczność wyje z zachwytu.

Po co o tym piszę? Przecież powyżej opisane wygłupy są ledwie częścią widowiska, za które publiczność zapłaciła duże pieniądze, a organizatorzy dobrze zarobią. Jednak coś mnie w tym wszystkim niepokoi, a nawet irytuje.

Chodzi o ten wymowny gest. Zawiera on czytelną groźbę. Zawodnik życzy konkurentowi śmierci. Chętnie by go sam zarżnął. Na nic tu tłumaczenie, że to ringowy teatr, że to nie na serio…

Nie wiem, czy na serio, czy nie. Faktem jest, że taki gest COŚ ZNACZY. Wywodzi się z najgorszych wzorców zachowań. Tak łatwo go wykonać. Przecież bez tego „podrzynania" walka bokserska może być piękna, fascynująca, rozpalająca emocje widzów. Więc po co? Dlaczego?

Oczywiście – dla kasy. Koniec wyjaśnień, ale zagadnienie nie znika. Transmisje z takich pojedynków oglądają bardzo młodzi widzowie. Gest taki przenika gdzieś do podświadomości, podpowiada, że tak można. A to, że jest niesportowy i nie powinien być tolerowany na żadnym z ringów i oktagonów? A kto by się tym przejmował?

Podobne zachowania mnożą się bez miary. Są wysoce szkodliwe. Mają znacznie bardziej dewastujący wpływ na widzów, niż to nam się wydaje. Dziwimy się czasem, dlaczego w bagażnikach kibolskich BMW policja odnajduje pałki, paralizatory, maczety i inne przedmioty służące do okazywania uczuć dla sympatyków drużyny przeciwnej.

Czy da się walczyć z takim zjawiskiem? Nie wiem, ale trzeba.

Marchołt

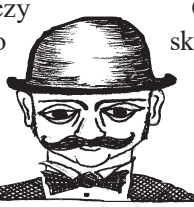

ŚMIECHODOKI

BLASKI I CIENIE

Aktor i dyrektor teatru Lucien Guitry tak kiedyś powiedział do syna Sachy:

– Prawdziwy smak życia, mój synu, poznasz dopiero wtedy, gdy będziesz żonaty.

A po chwili dodał:

– Ale wówczas będzie już za późno.

GENDER

Aktor, pisarz i reżyser filmowy, syn Luciena – Sacha Guitry – znalazł się w towarzystwie, w którym padło pytanie:

– Czy łatwo być kobietą?

Po krótkim namyśle aktor odpowiedział:

– Być kobietą to coś tak trudnego i skomplikowanego, że tylko kobieta to potrafi.

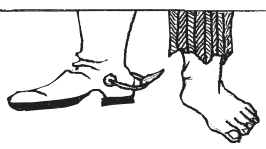

SIEDEMNASTOWIECZNY HUMANIZM

Żona Sobieskiego, zwana przezeń w jego listach Marysieńką, urodziła mu siedemnaścioro dzieci. Mu? Tak się zwykle mówiło i pisało, że żona rodzi dzieci mężowi.

Choćby nawet był w sam raz na wojnie, dajmy na to w Ziemi Świętej… Ale co innego jest również ciekawe, by nie rzec bulwersujące. Jak to możliwe, że w tak kochającym się stadle – co poświadcza korespondencja królewskich małżonków – potomstwo nie było dość bezpieczne? choć przecież nie była to monarchia dziedziczna, gdzie często potomkowie walczyli ze sobą o sukcesję na tronie? Sobieski został wybrany w „wolnej elekcji", miał służbę, piękny pałac w Wilanowie, medyków na zawołanie. Tymczasem z siedemnaściorga ich dzieci tylko czworo dożyło wieku dorosłego.

Czyżby druga połowa XVIII wieku nie była w Polsce czasem sprzyjającym życiu? Zarówno temu poczętemu, jak i życiu dzieci urodzonych? Bo że nie była czasem specjalnie służącym młodzieży męskiej zakuwanej w szyszaki i pancerze, a potem masowo ginącej na wojnie, to pewne.

Z siedemnaściorga dzieci królowej Polski trzynaścioro zmarło za młodu, przed osiągnięciem dorosłości. Co to znaczy? Król nie był w stanie zadbać o zdrowie większości swoich dzieci?

Powstaje więc pytanie: do jakiej szkoły chodził za młodu, kto go wychował? Odpowiedź łatwo znaleźć. Wystarczy zapytać o to „doktora" Google. Oto odpowiedź:

„Z Bożej łaski król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, smoleński, siewierski i czernihowski, Obrońca Wiary." Największy triumf odniósł w bitwie pod Wiedniem w 1683 r. Po tym wydarzeniu Turcy nazwali go „Lwem Lechistanu", a papież Innocenty XI w 1684 r. uhonorował tytułem *Fidei Defensor* (obrońcy wiary). Uważany jest za jednego z najwybitniejszych polskich monarchów i wodzów (tamże).

Czytamy dalej w Wikipedii, że był człowiekiem starannie wykształconym: „był bardzo dobrze wykształconą osobą"; szczególnie gdy chodzi o języki obce (od łaciny, przez francuski, niemiecki, włoski oraz hiszpański; także podstawy tureckiego i tatarskiego). Tego chciał jego ojciec Jakub Sobieski, kasztelan krakowski. Młody Sobieski kształcił się pilnie w Kolegium Nowodworskiego (poetyka, retoryka i dialektyka), a następnie studiował na Wydziale Filozoficznym Akademii Krakowskiej.

Potem zwiedzał wraz z bratem Markiem przez dwa i pół roku Europę Zachodnią: Niemcy, Niderlandy, Francję i Anglię. Jak czytamy dalej w Wikipedii: „Dzięki znajomości wielu języków oraz pasji czytania książek Jan III Sobieski stał się dobrze wykształconym humanistą, znającym zarówno literaturę klasyczną jak nowożytne dzieła wolnomyślicieli. Wystarał się nawet u papieża o specjalną 'licencyję do czytania ksiąg zakazanych', dzięki czemu był obeznany z literaturą kacerską i innowierczą (...) Sobieski miał bardzo wszechstronne zainteresowania naukowe."

Następnie wykazywał się walecznością podczas powstania Chmielnickiego (stał się prototypem postaci Skrzetuskiego u Sienkiewicza).

I taki to był z niego humanista… Takie też to były „humanistyczne" czasy. Że na siedemnaścioro dzieci (bądź co bądź) królewskich dorosłego wieku dożyło czworo. Czyli plus minus ¼ (4,75).

JK

MIECZYSŁAW JAKUBIEC

„ANATOMIA" SUKCESU

Już chyba wszystko zostało powiedziane na temat zwycięskiej kampanii wyborczej sił opozycyjnych. Prowadzono ją w jakże nierównych warunkach. PiS dysponował mediami zawłaszczonymi i w centrali i w terenie. Sięgał nie tylko do kasy partyjnej ale i państwowej (pod byle pretekstem). Można by wyliczać inne przewagi w postaci „kryptośrodków" organizacyjnych i materialnych.

Opozycja tych możliwości nie miała. Jej szansa tkwiła w silnym przekonaniu znaczącej części społeczeństwa, że należy przywrócić w Polsce demokrację i zapobiec rozstaniu Polski z Unią Europejską, do czego w widoczny sposób dążyło PiS. Postępujący chaos decyzyjny rządu, zaniechanie reakcji na istotne zjawiska na arenie europejskiej, skoncentrowanie się na walce z wyimaginowymi wrogami wewnętrznymi, to wszystko dostrzegalne „gołym okiem" stanowiło realne zagrożenie dla naszego bytu państwowego.

Wracając do działalności politycznej w kraju, Donald Tusk stwarzał werbalnie wrażenie, że jest szansa na zmianę sytuacji ,wygrywając wybory do Sejmu RP. Jego optymizmowi towarzyszyć zaczęło pewne ożywienie polityczne w samej Platformie ale i szerzej, w innych formacjach opozycyjnych.

Chcę szczerze przyznać, że dość długo nie byłem entuzjastą Donalda Tuska. Jawił mi się często jako rzecznik wańkowiczowskiego „wishful thinking" – myślenia życzeniowego w stylu: „rzucam pomysł, a on się pewnie już sam zrealizuje".

W czasach „przedtuskowych" byłem bowiem wielokrotnie świadkiem w znanej nam instytucji, jak tzw. zalecenia poplenarne nigdy nie zostały zrealizowane. Co więcej, były po pewnym czasie ponawiane jako „odkrywcze" ze skutkiem podobnym. Mechanizm lubi się powtarzać.

W obu przypadkach brakowało tego samego: finalizacji pomysłu, kontroli jego realizacji, a czasem sensu kontynuowania podjętego przedsięwzięcia.

Gdy Donald Tusk objął stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, byliśmy jako Polacy bardzo dumni. Taki zaszczyt w tak krótkim czasie. Jednocześnie nie byliśmy pewni czy, podoła on zadaniu. Kompetencje duże, odpowiedzialność niemała jak dla człowieka z politycznego zaścianka Europy.

Tusk odnalazł się szybko w nowej sytuacji. Odnoszę wrażenie, że „zgłębił" brukselską biurokrację, zorientował się gdzie stoją „konfitury" i kto nimi skutecznie dysponuje. Okazał się osobą kompetentną, konsyliacyjną, czym zdobył sobie życzliwość szczególnie u mniejszych", a szacunek u „większych" w Unii. Chyba się z jego zdaniem liczono w kwestiach, przy których obstawał. Słowem zdobył spore doświadczenie i rozeznanie w oczekiwaniach i aspiracjach członków Unii. Czy jako Polak dbał o polskie „interesy"? Jakie i kiedy? Trzeba by o to jego samego spytać.

Musiał zapewne zachowywać obiektywizm i bezstronność. Czy zawsze mu się to udawało? Hm... Rządzące w Pol-

sce PIS wieszało na nim psy i koty, zarzucając właśnie prounijność, a proniemieckość w szczególności. Że pokazał klasę i zyskał uznanie jako reprezentant europejskich interesów świadczy wynik głosowania 26:1 nad wnioskiem europosłanki Szydło w kwestii votum zaufania do niego.

Słowem Polsce wstydu nie przyniósł. Przeciwnie. Daje wstępną dziś gwarancję, że będzie zabiegał o interes własnej ojczyzny skutecznie – oby z powodzeniem.

Gdy wrócił do Polski i podjął kroki pomocne Platformie Obywatelskiej, patrzyliśmy na te działania z pewną rezerwą i niedowierzaniem. Mówię to jako „bezpartyjny" sympatyk lewicy, „*tej starej".* Jak wyglądała w tym momencie cała opozycja wszyscy wiemy. Wątła Platforma, Lewica – pożal się niewierzący boże, dalej coś na kształt późniejszej Konfederacji i wydeptująca swą ścieżynkę „Trzecia Droga". Reszta społeczności z polityką w… pięcie. Tusk zaczął pracę na ugorze z zadziwiającym samozaparciem. Zaczął kampanię wyborczą z życzliwymi mu ludźmi, z dawnymi swoimi, sprawdzonymi działaczami, również z ludźmi ,którzy nie byli „za nim" ale byli „przeciw" (wiadomo przeciw komu i czemu) . Zaczęto wierzyć, że jest szansa, chociaż wówczas jeszcze to graniczyło bardziej z wiarą w sukces, niż w realną wygraną. Wtedy inne opozycyjne ugrupowania zaczęły stroszyć swe piórka. Kurczaki podniosły ogon. Zaczęto prezentować zręby swych programów oczekiwań, ba, nawet żądań. Tymczasem realnie myślący obserwatorzy szybko dostrzegli, że tylko koalicja opozycjonistów ma jakieś szanse wygrać wybory. Ale wtedy, porządkujące swe szeregi formacje opozycyjne zadeklarowały własną drogę do parlamentu. Sytuacja stała się kryzysowa. Przecież wejść do parlamentu i dać się zdominować wygranemu, to nie to, co w partnerskiej koalicji zwyciężyć. Im bliżej wyborów, tym szybciej przyszli mniejsi koalicjanci dochodzili do wniosku, że mają wybór: albo przytulić się do Większego, albo pójść własną ryzykowną drogą i paść. Finał znamy. Zwyciężyła arytmetyka.

Nowa Lewica (czyt. resztki starej + Wiosna) + Trzecia Droga – PSL,+ Trzecia Droga – Polska 2050 + Koalicja Obywatelska, zawiązując koalicję powyborczą przejęły władzę w Polsce.

11.599.090 Polaków (nie licząc wyborców Konfederacji), przy rekordowej frekwencji wyborczej 74,38% ,wyraziło swą wolę sprzeciwu wobec próby ustanowienia autorytarnych rządów PIS.

Sceptycy obawiają się, że po żniwach (sukcesie wyborczym koalicji) powinny zacząć się dożynki (bezpardonowe zmiany kadrowe). No cóż, kiedyś partia „trzymająca" władzę, sprawowała ją poprzez nomenklaturowe kadry, łaskawie dając „sprzymierzeńcom" stanowiska drugorzędne lub merytorycznie niezbędne dla funkcjonowania np. przemysłu, rolnictwa, itp. Dziś może będzie inaczej, choć socjologia zarządzania zaświadcza różnie.

Optymistycznie kończąc, Donald Tusk włożył (choć nie sam) ogrom pracy własnej w sukces wspólny, wierzył w niego, a to było motorem jego działań i należy mu pogratulować. Może teraz pojechać „na chwilę" na narty, bo mu się należą. □

gazeta.pl

Krzywelustro:

Oto tekst z plakatu wyborczego NSDAP z roku 1933:

– Dlaczego katolik musi głosować na listę Adolfa Hitlera do Reichstagu?

– Ponieważ narodowosocjalistyczne państwo i Reichskonkordat zapewnia:

1. ochronę religii
2. ochronę i zabezpieczenie Kościoła
3. nienaruszalność moralności publicznej
4. zachowanie świętości niedzieli
5. zachowanie szkół wyznaniowych
6. nienaruszalność katolickiego sumienia
7. równouprawnienie katolika wobec prawa i państwa
8. całkowitą swobodę działalności dla katolickich stowarzyszeń i związków, o ile służą one wyłącznie celom religijnym, charytatywnym i kulturalnym.

Dlatego katolik w dniu 12 listopada musi zagłosować:

1. w referendum na „tak”,
2. w wyborach do Reichstagu na Adolfa Hitlera.

Z wywiadu Żakowskiego z Lepperem zamieszczonego w Polityce w 2007 r:

Ż. - Z tych dziesięciu lat kilka może pan przesiedzieć.

L.- Eee, takich materiałów nie mają.

Ż.- Sam pan mówi, że oni te materiały robią.

L. - Ale sądu nie znajdą, który w nie uwierzy. Teraz już wszystko zaczyna im się sypać...

Ż. - Pan myśli, że się rozsypie?

L. - W prokuraturze już zaczynają myśleć, że każda władza odchodzi. Ale to jeszcze może się odwrócić. Jestem na to gotowy... Bo wiem z rozmów z Jarosławem, jaka ma być Polska jego marzeń. To ma być taka Polska, w której kto jest dla niego niewygodny, ten jest odstrzelony. Kiedyś mówił nam o liście dziennikarzy, którzy go krytykują i których trzeba odstrzelić. My naprawiamy Polskę, a oni nas krytykują. Musimy się zająć ich finansami, posiadłościami. Pokażmy ludziom, kto ich finansuje, kto ich sponsoruje? – mówił. Ja tam nie wiem, skąd dziennikarze mają pieniądze.

Ż. - Z pracy, panie przewodniczący. A premier się tym naprawdę poważnie interesuje?

L.- Oczywiście. Pan też był na tej liście. I jeszcze kilkunastu innych z rozmaitych redakcji.

Ż. - Kto?

L. - To powiemy później. Służby już nad wami pracują. ABW, CBA? – wszyscy szukają kwitów.

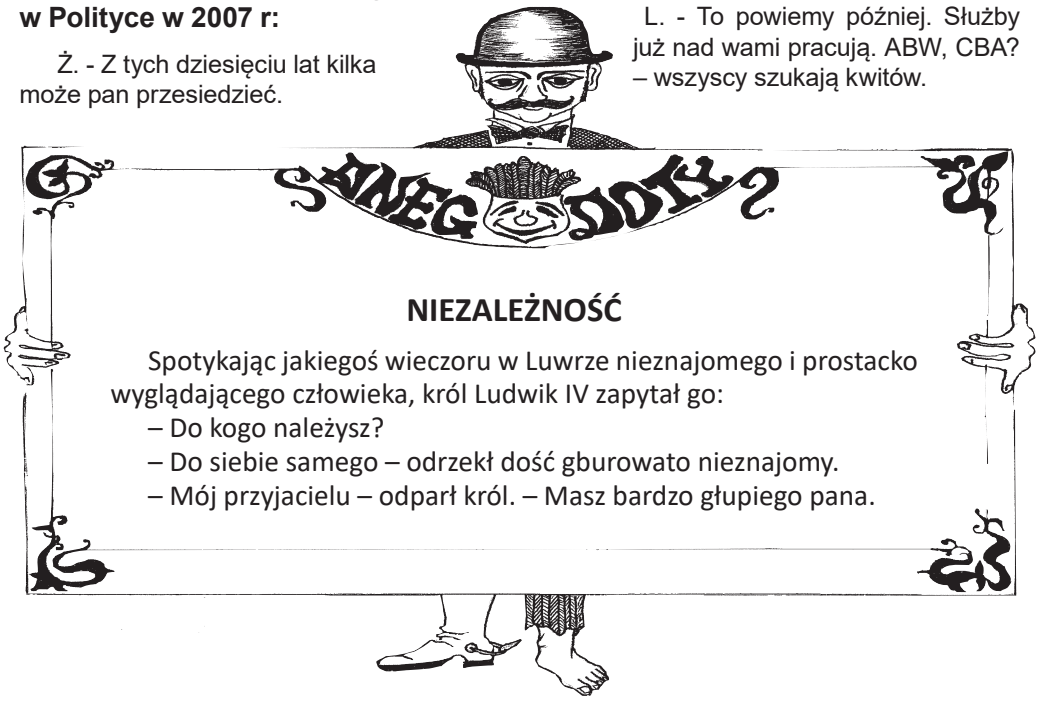
ANEGDOTY

NIEZALEŻNOŚĆ

Spotykając jakiegoś wieczoru w Luwrze nieznajomego i prostacko wyglądającego człowieka, król Ludwik IV zapytał go:

– Do kogo należysz?

– Do siebie samego – odrzekł dość gburowato nieznajomy.

– Mój przyjacielu – odparł król. – Masz bardzo głupiego pana.

Bóg stworzył człowieka. – Stać mnie na coś lepszego – powiedział. I stworzył kobietę.

Adela Rogers St. John

W swojej większości ludzie pragną być dobrzy, ale nie za dobrzy i nie zawsze.

George Orwell

Gdyby każdy człowiek wiedział, co mówią o nim inni, nie byłoby na świecie ani jednej pary przyjaciół.

Blaise Pascal

Nigdy nie mów ludziom, jak mają wykonywać swe zadania. Powiedz im tylko, co mają robić, a będziesz zdziwiony ich pomysłowością.

George Patton

Istoty ludzkie to jedyny gatunek zwierząt, których szczerze się obawiam.

George Bernard Shaw

Oto rodzaj ludzki: często wypada żałować, że Noe z towarzyszami zmieścili się w Arce.

Mark Twain

To szata zdobi człowieka. Ludzie nadzy mają małe albo wręcz żadne wpływy w społeczeństwie.

Mark Twain

Ludzie pozostają smutni, ponieważ budują raczej ściany, a nie mosty.

John Newton

Bądźcie nietolerancyjni tylko wobec nietolerancji.

Hipolit Taine

EX LIBRIS FORUM

Projekt okładki: Piotr Augustynek
Kompozycja stron: Artur Kozioł
Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu

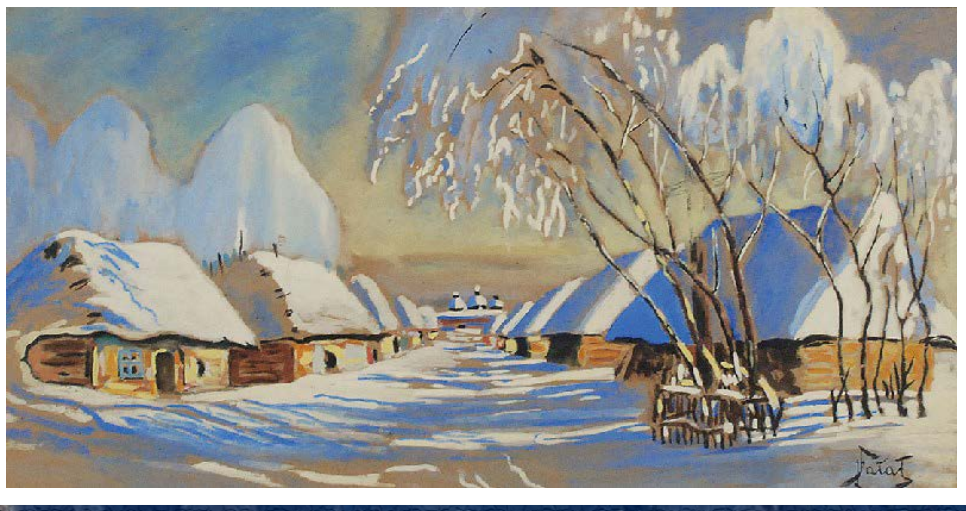

Julian Fałat
***Pejzaż zimowy*, 1897**